

ŚWIAT



LEONARDO DA VINCI

CECYLIA GALLERANI, „DAMA Z GRONOSTAJEM”
KRAKÓW, MUZEUM NARODOWE

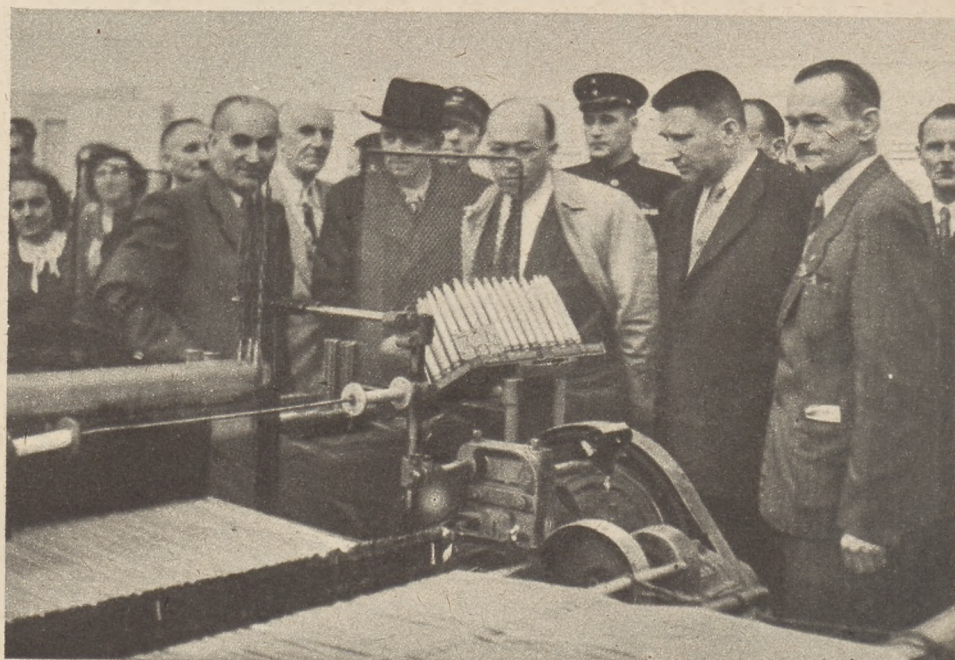
ZSRR PRZEKAZAŁ POLSCE BEZCENNE PAMIĄTKI KULTURY



SIB

W sali Akademii Nauk ZSRR w Moskwie odbyło się przekazanie delegacji polskiej archiwum kopernikowskiego, odnalezionego przez żołnierzy radzieckich podczas wojny, we Fromborku. Wicemin. Szkolnictwa Wyższego, H. Golański, wyraził władzom radzieckim gorące podziękowanie za uratowanie cennych pamiątek kultury.

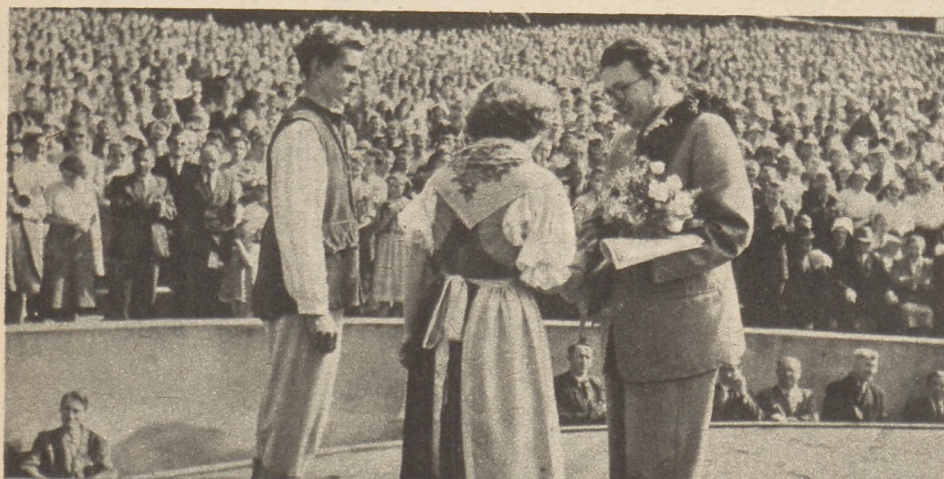
Z POBYTU DELEGACJI ZWIĄZKOWCÓW RADZIECKICH



CAF

Delegacja związkowców radzieckich, która bawiła w Polsce podczas obchodów święta 1 Maja, żywo interesowała się osiągnięciami gospodarczymi i kulturalnymi naszego kraju. Związkowcy radzieccy z dużym uznaniem mówili o twórczym wysiłku polskich mas pracujących, realizujących zadania Planu Sześcioletniego.

FESTIWAL PIEŚNI I TAŃCA



„ŚWIAT”

W Brzegu, starym grodzie piastowskim nad Odrą, odbyły się centralne uroczystości z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy. Festiwal pieśni i tańca otworzył Minister Kultury i Sztuki, Stefan Dybowski. Popisem przyglądało się 20 tysięcy osób.

KSIĄDZ-JEZUITA ZGŁOSIŁ AKCES DO OBOZU LEWICY



VIE NUOVE

Ksiądz-Jezuita Alighiero Tondi, dyrektor Wyższego Instytutu Kultury Religijnej w Rzymie, wystąpił z zakonu i zgłosił akces do obozu lewicy. W artykule ogłoszonym w prasie prof. Tondi oświadczył, że Kościół popiera klasy uprzywilejowane wbrew interesom prostych ludzi oraz propaguje agresywny pakt atlantycki.

ELIMINACJE ZESPOŁÓW STUDENCKICH



„ŚWIAT”

67 najlepszych zespołów artystycznych i przodujących w pracy kulturalnej grup studenckich z całej Polski brało udział w centralnych eliminacjach festiwalowych, które odbyły się ostatnio w Krakowie. Oto grupa tancerzy z Wrocławia.

LUDNOŚĆ ZACHODNICH NIEMIEC MANIFESTUJE PRZECIWKO „RZĄDOWI” TRIZONII



KEYSTONE

Podczas podróży „prezydenta” Trizonii — Heussa, po Niemczech zachodnich, ludność pracująca demonstrowała przeciwko zaprzędanemu polityce Stanów Zjednoczonych, marionetkowemu rządowi w Bonn. Wielkie demonstracje odbyły się również i w Berlinie, gdzie „prezydent” Heuss przybył na otwarcie szkoły nauk politycznych.

OD SPECJALNYCH WYŚLANNIKÓW

„ŚWIATA”
NA WYŚCIG POKOJU
WARSZAWA
BERLIN
PRAGA

ARTURA MIĘDZYRZECKIEGO (tekst)
i W. SŁAWNEGO (zjęcia)

KRAJOBRAZ
WYŚCIGU



Na stadionie Prezydent Pieck w otoczeniu członków rządu NRD. Pierwszy z prawej ambasador RP, Izydorczyk

NA WZNIESIENIACH jest to poruszający się krąg kwiatów, czerwonych, żółtych i białych. Później, na zakręcie, kolarze jadą jednym rzędem, rozciągającym się coraz bardziej. Ktoś zostaje w tyle, dziennikarze w autokarze prasowym notują numer, sprawdzają nazwisko kolarza, wymieniają uwagi. Pejzaż zmienia się, kwitnie majem i wiosną, czasem kaprysi, staje się dżdżysty i niski.

Sosnowy las pod Karwinem przypomina drzewa z „Młodości Chopina”, las w którym znikła Konstancja.

Niebieski wagon tramwajowy pod Tuszyńem jest dużą kolorystyczną niespodzianką.

Zieleń pod Goerlitz jest różna. Ile jest tych zieleni? Dziesięć, dwadzieścia? Oto zieleń wiosennych drzew: ciemna ściana iglastego lasu, puszysta trawa, w której kwitnie mlecz i rumianek, zagajnik za białymi domami mijanej wsi.

Na śląskiej drodze wiodącej do Strzelca i Opoli ktoś wypisał kredą: „Pokój — Paix — Mir”. Wzdłuż drogi kwitną bzy. Kwitną podobnie w Polsce, w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w Czechosłowacji.

Mosty graniczne nie zatrzymują wiosny. Nie odmieniają również ludzkich serc. Kto prawdziwie kocha swój kraj, miłuje również całą ludzkość. Te same uczucia witają kolarzy Wyścigu Pokoju na całej trasie, prowadzącej przez trzy państwa.

W Goerlitz 700-osobowa grupa polskiej młodzieży przechodzi przez most na Nysie. Razem z młodzieżą niemiecką pozdrawia zawodników z 16 krajów.

Młodzież lubi sport. Setki tysięcy ludzi mają swoich faworytów, emocjonują się ich jazdą, cieszą się ich sukcesami. Ale ogromna część tłumów stojących obok szosy, w setkach miast i tysiącach wsi, zainteresowała się kolarstwem po raz pierwszy w życiu. Ten wyścig nie jest bowiem zwykłą sportową imprezą.

Nie wiem czy szybkość tegorocznego Tour de France będzie większa czy mniejsza od szybkości zanotowanej w wyścigu Warszawa-Berlin-Praga. Nie wiem ile zarobią kapitalistyczne firmy rowerowe na Giro d'Italia, Tour de Belgique i Tour de Suisse. Jedno nie ulega wątpliwości: żadna sportowa impreza w świecie pogardy, przemocy i faszyzmu nie może być porównana z Wyścigiem Pokoju.

Ludzie z rowerami u nich, to nie tylko Vietto i Fausto Coppi, to również „złodziej rowerów” — z filmu Vittorio de Sica, — rzymski bezrobotny, dla którego posiadanie roweru jest nieodzownym warunkiem otrzymania pracy i... nieosiągalnym marzeniem.

Ludzie z rowerami u nas, to sportowcy, którzy miłują kolarstwo i umieją bronić swych barw. Są to jednak również miliony ludzi jeżdżących codziennie

do pracy. Do kopalń Śląska, warsztatów Leuna Werke, fabryk Morawskiej Ostrawy. Rowery stoją później w przechowalni — jak w Katowicach, jak przed Ernest-Thaelmann Stadion w Chemnitz, gdzie kończy się VIII etap. Jak w Pilźnie.

Ci, którzy na tych rowerach przyjechali, budują Plan 6-letni Polski Ludowej, Plan 5-letni Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Plan Narodowy CSR. Budują szczęście mocne jak stal z częstochowskiej huty, trudne szczęście do którego uśmiechają się ich dzieci.

Długa trasa Wyścigu była wspaniałą manifestacją przyjaźni i braterstwa. Tak radośnie, serdecznie i prosto witać mogą tylko ludzie, którzy wiedzą dlaczego pracują i umieją strzec swej pracy.

Gęste szpalery widzów, potężny grzmot oklasków na stadionach, grupy kolarzy na prostych ocienionych szosach, rozkwitłe drzewa wiosny, nowe domy Warszawy i Lipska, rusztowania budowy socjalizmu — taki był krajobraz tego wielkiego wyścigu. Pokój, przyjaźń i nieubłagana walka o przyszłość — taki był jego cel, wypisany na tysiącach transparentów, utrwalony w ludzkiej pamięci, wyrity w milionach serc.

MIGAWKI Z TRASY
PATRZ STR. 4



Czołówka dawno już się oderwała i osamotnionego Rumuna Sandru dogoni wkrótce zwarta grupa kolarzy.

WIELKI FESTYN PRZYJAŹNI

NOTATKI Z TRASY

TABELA klasyfikacyjna jest bardzo ważna. Króliak był drugi w Bad Schandau. Wójcik i Klabiński przyjechali na dobrych miejscach.

Czytelnicy gazet pochylają się nad długim wykazem nazwisk i cyfr. Przeciętna szybkość: 37 km na godzinę; pierwsza Anglia dobrze, bardzo dobrze. Były góry, trudny etap, ciężka jazda. Byli również defekty. Jarząbek przebił dętkę. Polacy są tylko o sekundę za Anglikami i Czechosłowacją. Na piątym miejscu! Kronika wyścigu nie jest jednak suchym zestawieniem tabel. Nawet jeżeliby dodać do nich pasmo kolarskich nieszczęść — przebite gumy, defekty, jakiegoś zderzenia — obraz nie byłby pełny.

Wyruszyliśmy z Warszawy. Jechaliśmy przez NRD i Czechosłowację. Mijaliśmy Łódź, Katowice, Berlin, Lipsk, Pilzno i Hrensko — miasta pokoju na trasie przyjaźni i braterstwa. Kolarzy, którzy przyjechali z 16 krajów świata, witali górnicy Zagłębia, robotnicy Leuna - Werke i metalowcy Pragi po polsku, niemiecku i czesku, po francusku, po włosku i angielsku. Powiewały transparenty nad szosą. „Młodzież nie ustanie w walce z podpalaczami świata!” „Pozdrawiamy wyścig pokoju!”

Setki tysięcy ludzi wzdłuż trasy. Małe białe - czerwone chorągiewki w dłoniach uśmiechniętych dzieci w Bad Schandau. Pozdrowienia i okrzyki powitania. Ludzie stawiali obok szosy, wolali, rzucali kwiaty. Murarze nowego Berlina ścisnęli ręce polskiego kolarza. Lipsk — zęgał wyścig wielką pokojową manifestacją.

W Treptow kilku polskich dziennikarzy długo patrzyło na pomnik żołnierzy radzieckich, poległych w bojach o Berlin. Był wieczór, świecił księżyc, monumentalny posąg zwycięstwa stał w ogromnej ciszy berlińskiego parku. Przerywały tę ciszę nasze kroki, czyjeś zapytania, odpowiedzi oprowadzających nas niemieckich towarzyszy. Za wielkim sztandarem z czerwonego marmuru — płaskorzeźby, opowiadające historię wolności i nęstwa. Podchodzą one dwuszerzgiem pod wielki napis, na którym stanął postument. Zdrugotana swastyka pod opuszczonym mieczem przypomina dni walki. Dziecko na ręku żołnierza zapowiada przyszłość. Testament poległych i wolę tych, którzy żyją i walczą.

Wzdłuż ogromnej trasy, wzdłuż 2 tysięcy km asfaltu, klinkieru i bruku jedziemy przez wielki festyn wolności i przyjaźni. Jest ona piękna i wzruszająca. W Bautzen grupa młodzieży niemieckiej śpiewa polskie piosenki. Łużycki pisarz Juri Brezan wita polskich i niemieckich przyjaciół. Wieczorem, po kolejnym etapie, zawodnicy z wielu krajów świata tworzą jedną wielką rodzinę. Na starcie w Goerlitz Wójcik i reprezentant NRD Schur życzą sobie szczęśliwej drogi.

Ale szczęśliwa droga zależy nie tylko od życzeń. Na każdy etap tego wielkiego wyścigu złożył się ofiarny wysiłek zabieganych organizatorów, mechaników, masażystów. Praca zespołu technicznego rozpoczyna się bardzo rano i nie kończy do późnego wieczora. W kabinach telefonicznych śleczą dziennikarze — Polacy, Czechosłowacy, Niemcy. Są również korespondenci prasy angielskiej, duńskiej i fińskiej.

Spodziewane wyniki kolejnego etapu wychodzą z pokoju komisji sędziowskiej. Pracuje w nim 7 sędziów. Widzimy ich codziennie na trasie, a później — skupionych i sprawiedliwych na linii mety. Ze strony polskiej głównym sędzią jest Stanisław Cieślak, zastępcą działacz sportowy oraz sędziowie: Janowski i Brzozowski, weterani kolarstwa, którzy o szosie wiedzą prawie wszystko.

— Cóż, ciągnie wilka do lasu — mówi Stanisław Brzozowski. Starzy kolarze zsiadają z rowerów, ale nie rozstają się prawie nigdy z tym sportem.

Zygmunt Wisznicki jest trenerem reprezentacji polskiej. Mechanikiem drużyny Polonii francuskiej był znakomity kolarz Eugeniusz Michałak, mechanikiem drużyny polskiej 4-krotny szosowy mistrz Polski, Józef Stefański.

W karawanie wyścigu byli starzy sportowcy. Wacław Kowalski — znany lyżwiarz, dawny rywal Kalbarczyka — był masażystą. Kierownikiem wozów gospodarczych był Ludwik Kozłowski, który wiele lat temu uczył jeździć na lyżwach... Adolfa Dynszę.

A. MIĘDZYRZECKI



Członkowie ekipy Filmu Polskiego tym razem sami robią przed obiektywem tzw. przyjemny wyraz twarzy.



Przez miasta i miasteczka Polski, NRD i Czechosłowacji wiodła trasa wielkiego Wyścigu Pokoju.



Od należytego zaopatrzenia wiele zależy. Skorzeпа (CSR) poddaje się czujnej opiece swoich towarzyszy.



To się nazywa pech! Cenne minuty trzeba tracić na naprawę dętki, a później doganiać kolegów. Może to poważnie zaważyć na wyniku klasyfikacji indywidualnej.



W zwartej grupie przejeżdżają kolarze przez stare miasto w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wkrótce znajdą się na szosach Czechosłowacji.



Deutsch (Austria) utrzymywał się niemal stale w czołówce najlepszych kolarzy, wykazując dobrą formę.

„Pokój-Frieden-Mir“! — tymi okrzykami witano na trasie uczestników wyścigu Warszawa - Berlin - Praga.



GIERPI serce matki, której kaci faszystowscy zdradziecko i podle zamordowali jedyne go syna. Z wdzięcznością zwraca się ona do was, których szlachetne dłonie wyciągały się z pomocą, by dziecko moje uratować przed plutonem egzekucyjnym.

Niechaj krew mego syna stanie się sztandarem pokoju, sztandarem szczęścia waszych narodów i naszego narodu.

Dla nich on żył i dla nich znosił męczeństwo. Walczył za ideę pokoju i jej



Matka Beloianisa.

poświęcił swe życie, jak ofiarę na całopalenie.

Oby na nieszczęsnej ziemi, którą krew jego zrosiła, zakwitły kwiaty pokoju. Oby stały się one darem dla gorącej młodzieży całego świata — by nigdy już więcej na ziemi nie płakały inne matki!

Matka o sercu rozdartym — lecz matka dumna!

Wasiliki Beloianisa

WYRWANO go nam z rąk i nie mogliśmy uczynić nic, by go zatrzymać. Mogliśmy tylko obdarzyć go całym naszym bólem, całym naszym sercem i obietnicą, że go pomścimy. Niczym więcej.

Przyszli jak prawdziwi mordercy o trzeciej nad ranem. O pół do piątej zegrał się krwawy epilog najbardziej niskiej, najbardziej podłej inscenizacji, dostępnej ludzkiej wyobraźni. Do tej chwili nie wiedzieliśmy o niczym. Przez cały dzień nie pozwolono nam porozumiewać się z kimkolwiek. Zakuli go w ciężkie kajdany, nie zostawiając mu nawet czasu, by wypowiedział swe ostatnie życzenie. Pozwolono nam jedynie pożegnać go przez kraty małego okienka celi.

W nocy było po wszystkim.

Mordercy jego rozumieli tylko tyle, że podobne zbrodnie nie znoszą światła dziennego.

Myśleli, że kule uchronią ich przed chłostającymi ciosami, przed rozpalamym do czerwoności żelazem, jakim było dla nich każde słowo, jakim był dla nich każdy czyn Nikosa.

Także i oni zrozumieli rychło, jak bardzo się mylili, sądząc, że wszystko skończy się wraz ze śmiercią Beloianisa.

Dla nich Nikos umarły jest równie groźny jak Nikos żywy.

Ci nocni mordercy nie są w stanie zabić bohaterów: bohaterów nikt zabić nie jest w stanie. Z ich imieniem na ustach narody walczą i zwyciężają. Żyją oni jak płomień zemsty w sercach walczących; żyją jako przykład dla młodzieży świata, żyją w snach matek pragnących, by dzieci ich miały serca równie czyste, wielkie i gorące jak oni. Jak Nikos.

Jeden z naszych drogich towarzyszy nazwał go albatrosem. I takim był naprawdę. Ptak bezkresnych przestrzeni, niezłomny i nieustraszonego, wszelkim burzom umiał stawiać czoło.

Na takich bohaterach opieramy się w naszej walce; z nimi na czele idziemy do zwycięstwa.

Listy BOHATERSKIE

Do wszystkich ludzi na ziemi zwraca się matka bohatera greckiego, Beloianisa, w liście pisanym po jego zamordowaniu. Dla wszystkich wolnych ludzi na ziemi przeznaczone są również listy towarzyszy walk Beloianisa. Elli Joannidu, pisane w celi więziennej. Poniżej publikujemy słowa tych bohaterów greckich, dla których śmierć najdroższego syna i najdroższego towarzysza jest bodźcem do nieustającej walki z mordercami ludzi i mordercami wolności.

Prawdę mówił okrzyk rozbrzmiewający podczas procesu: Beloianis żyje i żyć będzie! Na wieki!

Elli Joannidu

„P. S. — Słowa te pisane są w celi dla odosobnionych, gdzie jeszcze się znajdujemy, tej samej, z której zegnaliśmy Nikosa. Pisane są jego własnym piórem“.

1.IV.1952 r.

Przestraszeni swą brudną robotą — odpowiedzialni za nią, nie śmia się pokazać. Kryją się, jeden za drugiego, myśląc, że ukryć się zdołają. Lecz nie może im się to udać — i trzeba, by dobrze o tym wiedzieli.

Ja, która przeżyłam tę krwawą mistyfikację, wymienię wam ich wszystkich. Nie dlatego, byście ich nie znali — lecz dlatego, że pragnę, by imiona ich wryły



Drzeworyt ku czci Beloianisa wykonany przez artystkę grecką Z. Macris.

MORDERCY Beloianisa nie odważyli się doprowadzić zbrodni do końca. Jak przystało prawdziwym faryzeuszom, zatrzymali się przed huraganem oburzenia, jakie wywołać by musiała egzekucja matki.

To, że żyję zawdzięczam więc ich tchórzostwu. Lecz pragnę powiedzieć im za pośrednictwem tego listu — gdyż w ojczyźnie mojej nie ma ani jednej wolnej gazety — że życie, które mi „uratowali“ poświęcone będzie w tysiącokrotnie większym stopniu niż dotychczas jednemu celowi: zemście. „Trzeba być żywym. Dla zemsty“. Były to ostatnie słowa Nikosa, gdy szedł przed pluton egzekucyjny. Jestem pewna, że wy wszyscy, ludzie wolni w Grecji i na całym świecie, słyszeliście te słowa wraz ze mną. I że ten sam, co we mnie, wzniecają w was gniew, tę samą wolę ukarania morderców Beloianisa, morderców niezliczonych tysięcy bojowników, morderców, którzy w kajdany zakuwają narody i zabijają najlepszych ich synów.

się w wasze serca krwawymi głoskami, głoskami pisanymi krwią Beloianisa. Jako bezpośrednio odpowiedzialnych za morderstwo oskarżam: gangsterów amerykańskich w Grecji, zwłaszcza Penrifoy'a i Jost'a, którzy polecieli rządowi greckiemu przeprowadzić parodię procesu, a potem wykonać egzekucję. Całą partię Papagosa w parlamencie i w armii, która gwałtownie naciskała na rząd by dokonał morderstwa. Cudzoziemskie go króla Grecji, którego główną robotą jest podpisywanie wyroków na naszych towarzyszy walki.

Panopulos i całą klikę policyjną.

Nikolopulos i całą klikę sztabu generalnego — najpodlejszych wykonawców rozkazów zagranicznych w Grecji.

Venzelosa, który pozostając wierny owej prawicowej polityce (w Grecji ta

prawicowa polityka jest synonimem krwawej polityki) przyczynił się ze wszystkich sił do morderstwa.

Rendisa — owego greckiego Dawida Rousset, jak nazwał go Nikos — który nie ustawał w przygotowywaniu do inscenizacji i do wykonania amerykańskich rozkazów.

Oskarżam sędziów wojskowych, którzy wydali na nas wyroki skazujące, jak również Sąd Najwyższy, gdyż w skandalicznych swych sentencjach starali się zalegalizować zbrodnię.

Głównych winowajców zostawiłam na koniec. Wszystkich, których wymieniłam dotychczas, znamy. Nie mogą się ukryć, nie mogą oszukać nikogo.

Lecz to inni, perfidni, ukrywający się mordercy są najbardziej niebezpieczni.

Oto oni: General Plastiras i większość jego ministrów, zwłaszcza jego osobisty przyjaciel, minister sprawiedliwości, Paspaspiru. Dzisiaj umywają oni ręce i pod oplakaną maską Piłata starają się ukryć swe prawdziwe oblicze, oblicze Judasza. Jedno słowo Plastirasa wstrzymałoby egzekucję — lecz Plastiras słowa tego nie wypowiedział. Pogwałcił własne swe uroczyste oświadczenia, w myśl których żadna egzekucja za przestępstwa popełnione przed stworzeniem jego rządu nie miała być wykonana — hipokryta zastąpił się swym „szacunkiem“ dla werdyktu Komisji Ułaskawień, tak, jak gdyby owego werdyktu nie znał z góry.

Chce byśmy uwierzyli, że nie wiedział co się knuje — skoro wiedzieli o tym nawet dziennikarze, przybyli do więzienia w chwili, gdy zabrano Nikosa.

I sądzi, że za pomocą całej tej zakłamej komedii, będzie mógł po raz trzeci oszukać naród grecki sloganami o amnestii — teraz gdy z rąk jego, kropla za kroplą, spływa krew Beloianisa.

Jeżeli generał trwa w życzeniu, byśmy uwierzyli — niech wystąpi otwarcie i wymieni odpowiedzialnych za zbrodnię, jednego po drugim. Tylko w ten sposób mógłby uniknąć publicznego oskarżenia i politycznej śmierci.

Jeśli chce, niech uzna to wszystko za osobiste wyzwanie i niech odpowie — jeśli może — jak człowiek i jak żołnierz.

Na pierwsze moje wyzwanie — gdy przed trybunałem zdemaskowałam jego jezuicką przewrotność — postąpił jak Judasz mordując Beloianisa, a mnie pozostawiając przy życiu.

Lecz generał Plastiras nie odpowie, gdyż nic nie ma do powiedzenia, gdyż nic nie zmaże z jego rąk krwi naszych bohaterów.

Oto główni, odpowiedzialni za zbrodnię, wykonawcy woli słynnej amerykańskiej demokracji.

Niechaj będą pewni, że niebawem pochłonie ich strumień zemsty, wzbierający gniewem ludu. I jutro nikt nie będzie znał ich z innego imienia jak z imienia morderców Beloianisa“.

Elli Joannidu

2.IV.1952 r.



Nikos Beloianis i Elli Joannidu podczas procesu.

POWSTAJE NOWA ŁÓDŹ

LEOPOLD MARSCHAK

SETKI wysokich, zawsze dymiących kominów, czerwone gmachy fabryczne wypełnione terkotem maszyn, wyniosły, stalowy szkielet pierwszego wieżowca przy ulicy Sienkiewicza, długi wawóz ulicy Piotrkowskiej ujętej w ramy okazałych, wielopiętrowych gmachów. Jesteśmy w Łodzi.

Lat temu 130 na miejscu dzisiejszej Łodzi szumił wysokopienny, gęsty las, przecięty jedynie szosą biegnącą z Petersburga do Wrocławia. Nad niewielką rzeczką stała skromna osada, złożona z kilku zaledwie chałup.

Odmieniło się wszystko, gdy na tym terenie zaczął powstawać przemysł tkacki. Z Niemiec napłynęli majstrowie, z okolicznych wsi chłopcy zwabieni możliwością zarobku. I gdy jeszcze w roku 1821 osada nad rzeką Łódką liczyła 799 mieszkańców, w dwadzieścia lat później było ich prawie 25 tysięcy. W przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej Łódź była już miastem półmilionowym, dziś mieszka w niej przeszło 630 tysięcy osób.

W pobliżu gmachów fabrycznych pobudowano wspaniałe pałace dla fabrykantów i dyrektorów, „pospólstwo” zepchnięto do jednoizbowych mieszkań w ponurych, wilgotnych kamienicach, lub na peryferie, do drewnianych, parterowych domków przypominających wiejskie chałupy.

„Kto chce oglądać żywe ilustracje do tak bardzo dyskutowanych powieści Emila Zoli, — pisała prasa warszawska

w roku 1901 — nie potrzebuje jechać nad Sekwanę, gdyż o kilka godzin od Warszawy znajduje się osada, godna pióra tego piewcy nędzarzy. To Bałuty, północne przedmieście Łodzi, gdzie robotnicy żyją jak zwierzęta w barłogach”.

Od czasu ukazania się tej wzmianki, aż do wybuchu nowej wojny światowej, niewiele się zmieniło. Głódowe zarobki, bezrobocie, pogłębiały jeszcze nędzę w łniarę wzrostu kryzysów. Mieszkańcy nie zawsze mieli na zapłacenie komornego, mnożyły się sprawy sądowe o eksmisję. W broszurce „Głód mieszkaniowy”, taki znajdujemy opis mieszkania i eksmitowanych:

„W niewielkim pokoju mieszczą się — jedno małżeństwo z dwojgiem dzieci, jedno małżeństwo z czworgiem dzieci, dwa małżeństwa bezdzietne, jedna panna, jeden kawaler, czyli razem szesnaście osób. Izba jest tak pełna, że nie ma miejsca nie tylko na szafę, ale nawet na kuferki. Właściciel mieszkania — jest nim żywiciel najliczniejszej rodziny — dotknięty jest gruźlicą”.

W SUTERENIE PADA DESZCZ

Wiele godzin spędziliśmy w łódzkim archiwum przeglądając połówki już karty i fotografie, w których zawarta jest niezbyt odległa historia tego miasta. Mieliśmy jeszcze w pamięci dane z roku 1939 (57% ludności robotniczej zajmowało wtedy jednoizbowe mieszkania) kiedy rozpoczęliśmy wę-



Łódź pozostała miastem robotniczym, ale zmienił się wyraz twarzy tych, których niegdyś gnębił kapitalizm. Wystarczy spojrzeć na te dwie snowaczki.

drówkę po Łodzi dnia dzisiejszego, której prawowici gospodarze — łódzcy robotnicy — z ambicją i zapalem zmieniają dawny ponury charakter swego miasta, aby stało się ono wielkie i nowoczesne. Spójrzmy najpierw na istniejące jeszcze rudery — powiedział towarzyszący nam inżynier Komorowski z ZOR-u. — Niesposób ocenić doniosłość zasłanych tu zmian ani ogrom trudności, które mamy do zwalczenia — bez poznania do głębi ponurego spadku, pozostawionego nam w Łodzi przez rządy fabrykancko-sanacyjne.

Poszliśmy na te osławione Bałuty: stary rynek wybrukowany polnym kamieniem z archaiczną kamienną stu-

dienką, piętrowe, bezładnie rozrzucone domy o brudnych i okopconych ścianach. I jeszcze — „zabytkowe” parterowe drewniaki. Dorożkarskie chabety, jakby dla uzupełnienia wizerunku dawnej Łodzi, drzemią nad głębokimi i cuchnącymi rynsztokami.

Dom, ohydne podwórze, na którym główne miejsce zajmuje... ogólna ubikacja pozbawiona drzwi, odsłaniająca swoje wnętrza przed wszystkimi, którzy muszą tamtędy przechodzić. Część okien domu po prawej stronie ziele czarną pustką.

— Ta rudera będzie wkrótce rozebrana — mówi inżynier. Ale po lewej stronie w suterenie jeszcze mieszkają.

Schodzimy na dół. Drzwi otwarte, bo Jędrzejczakowa robi pranie, a poza tym...

— Otwieramy często drzwi — mówi gospodyni izby, zamieszkałej przez osiem osób — na dworze bywa bowiem cieplej, niż w tej naszej budzie.

Izba przypomina odcinek wyłożonego cegłą kanału. Leszek Jędrzejczak, murarz Zjednoczenia Budownictwa Miejskiego, pokazuje zacieki na wilgotnych ścianach:

— Nie remontujemy już tej izby — mówi — nie opłaca się. Mamy wkrótce dostać nowe mieszkanie...

— Tak jest — potwierdza inżynier — będziecie mieszkać w osiedlu na Stokach.

Jędrzejczak śmieje się: — Ładne są tam domy, chociaż nasze w nowym osiedlu bałuckim może i lepsze od tamtych. Jako murarz mogę coś o tym powiedzieć.

Wyszliśmy za Jędrzejczakową, która zawędrowała z wiadrem po wodę aż

Tak wyglądały przed wojną łódzkie robotnice. Okutane w ubogie chustki, źle obute, czekają zziębnięte w tłumie na decyzję wszechwładnych fabrykantów. Będzie praca, czy dalej bezrobocie — a wraz z nim coraz dokuczliwszy głód.



na sąsiednią posesję, gdzie piętrzyły się nowiuteńkie, jeszcze nietynkowane, lecz zamieszkałe już bloki.

I właśnie w jednym z nich przy ul. Drewnianej poznaliśmy rodzinę Kwasiborskich.

Otworzył drzwi mężczyzna średniego wzrostu, o pogodnej twarzy. Ogarnął nas nieco zdziwionym spojrzeniem, ale już w chwilę później serdecznie prosił do środka. Stanisław Kwasiborski, majster Przedsiębiorstwa Remontowego Maszyn Przędzalniczych, przewodnik pracy, mieszka w dwóch pokojach z kuchnią i łazienką. Ładne to pokoje: czyste, obszerne i słoneczne, gustownie urządzone. — Mieszkamy tutaj od niedawna, — wyjaśnia Kwasiborski — musieliśmy czekać cierpliwie, aż wykończyli, ale po przeprowadzce odetchnęliśmy z ulgą. Trzeba było wam widzieć naszą izbę na Ozorkowskiej, gdzie mieszkaliśmy przedtem. Woda lała się po ścianach na głowę. Teraz więcej kolegów dostało już nowe mieszkania. Jedni na Stokach, inni na Bałutach; mieszka tu również wielu tkaczy.

ZNIKAJĄ STARE BAŁUTY

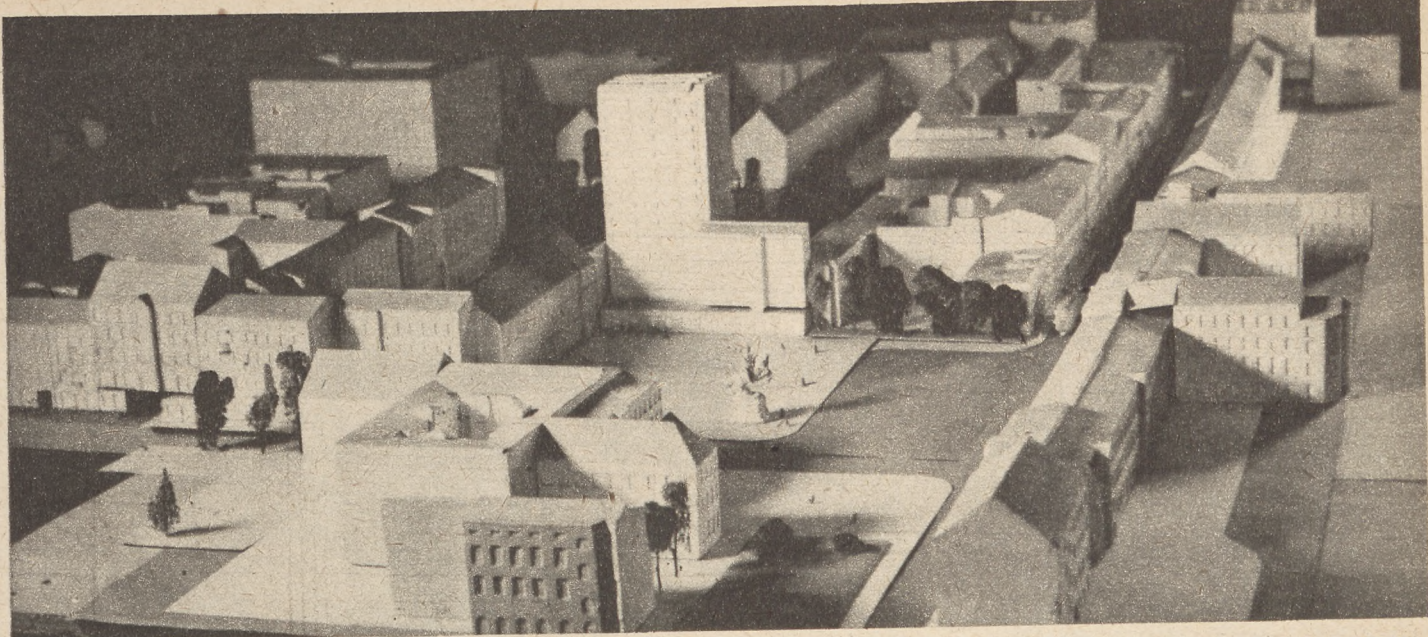
Kiedy stanęliśmy przed makietami w Miejskim Biurze Urbanistycznym u inż. Jaworskiego — mogliśmy objąć wzrokiem ogrom zmian, które robotniczej Łodzi przyniesie socjalistyczne Jutro.

Zwróciliśmy szczególną uwagę na Bałuty, któredy będzie już podwójnym torem tramwajów i trzydziestometrową jezdnią nowa arteria, będąca fragmentem siedmiokilometrowej trasy Północ-Południe. Gotowa jest już część nowej autostrady warszawskiej, która w przyszłości przeobrazi zupełnie śródmieście Łodzi. Łodzianie są bardzo dumni z tej trasy i twierdzą, że zaćmi ona swym rozmachem nawet popularną warszawską „wuzetkę“.

Przy pomocy laseczki podróżujemy po wielkim planie nowych Bałut. Powstanie tam oraz na Starym Mieście 10 osiedli: 4,5 miliona m³ kubatury. Będzie to całe miasteczko, dobrze zaopatrzone w sklepy, restauracje i warsztaty usługowe. Dwadzieścia żłobków ulokuje się na parterach domów bałuckich, przedszkola, szkoły oraz liczne ośrodki zdrowia, kąpieliska i pralnie mechaniczne — po 1 na każde 10.000 mieszkańców.

— A tu, w najwyższym punkcie Łodzi — wskazuje inżynier — postawimy w otoczeniu mieszkalnych wieżowców 18-piętrowy hotel.

Ozdobą rynku ma być pomnik wydarzeń 1905 r. Przypomni on wspaniałą rewolucyjną przeszłość robotniczego miasta, które wśród carskich satrapów uchodziło za tak zrewoltowane, że wy-



OTO PROJEKT PRZEJŚCIOWEJ ZABUDOWY ZBIEGU ULIC NARUTOWICZA I SIENKIEWICZA W ŁODZI.

dali oni surowy zakaz pobytu w Łodzi wielu „niebezpiecznym osobom“.

Pismo kancelarii warszawskiego generał-gubernatora z dnia 21 stycznia 1900 r. widzieliśmy w Archiwum. Nosi ono nagłówek „Tajne“ i zawiadamia gubernatora piotrkowskiego, któremu wówczas podlegało miasto Łódź, że „niejakiemu Władimirowi Iljiczowi Ułjanowowi zabrania się pobytu w Łodzi i na terenie guberni piotrkowskiej“. Walkę robotników łódzkich uważał Lenin za pierwsze zbrojne wystąpienie robotników w Rosji.

„Szczególnie ostry charakter — czytamy w Historii WKP(b) — przybrała walka w wielkim ośrodku przemysłowym Polski — mieście Łodzi. Robotnicy łódzcy pokryli ulice miasta dziesiątkami barykad i w ciągu trzech dni (22 — 24 czerwca 1905 r.) toczyli walki uliczne z wojskami carskimi; walka zbrojna połączona tu była ze strajkiem powszechnym“.

MIASTECZKO STUDENTÓW

Łódź, która przed wojną była istną „pustynią kulturalną“, dziś ma aż dziewięć wyższych uczelni. Dwadzieścia tysięcy młodzieży kształci się na uniwersytecie i na politechnice, w uczelni muzycznej oraz w Państwowej Szkole Aktorskiej, i Wyższej Szkole Filmowej. Nie koniec jednak na tym: oto Łódź buduje na ulicy Bystrzyckiej całe „miasteczko“ akademickie.

Jakże więc różnią się, jak niepodobne są do siebie dwa oblicza Łodzi: tej dawnej, wzniesionej kosztem wyzysku i nędzy robotniczych mas, i tej nowej, budowanej przez naród wyzwolony z wyzysku.



Spokojnie mogą w Polsce Ludowej pracować łódzkie robotnice, kiedy wiedzą, że dzieci ich są pod doskonałą, troskliwą opieką w nowoczesnych przedszkolach.

Rynek Bałucki. Na jednej z kamienic widnieje jeszcze przedwojenny napis reklamowy. Rynek ten stanie się wkrótce ośrodkiem nowego osiedla robotniczego.



Łódź była miastem kontrastów. Obecni gospodarze nadają jej jednolity charakter i Łódź robotnicza będzie w przyszłości wzorowym osiedlem, tonącym w zieleni.





„Początek demokratycznego sektora Berlina” — głosi tablica. Wolą pokoju i odbudowę żyje ta część miasta.

KURT SCHULTZE WYBRAŁ WOLNOŚĆ

MARIAN PODKOWIŃSKI

RODZINA Kurta Schultze składa się z czterech osób — w tym dwoje małych dzieci. Schultze mieszkał do niedawna w robotniczej dzielnicy Berlina, Moabit, dziś w sektorze brytyjskim. Ale Schultze — choć ma dopiero czterdzieści lat — pamięta dobrze, iż za czasów weimarskich w jego dzielnicy przeszedł w wyborach do Reichstagu Wilhelm Pieck.

Kiedy Schultze wrócił z radzieckiej niewoli do domu, zastał tylko ruiny. Gdy odnalazł swoją rodzinę u dawnego kolegi z fabryki Lorenza, radość spotkania trwała krótko. W domu nie było grosza, a znaleźć pracy w zachodnim Berlinie nie było można.

Schultze powiększył więc liczbę bezrobotnych (która dzisiaj w Berlinie zachodnim sięga cyfry 300 tysięcy osób). Oznacza to, że prawie milion ludzi żyje w nędzy i opuszczeniu.

Kiedy Schultze wygrzewał się na słońcu bawiąc się z dziećmi, jego żona, Hilda, chodziła do prania. Zarobki były skąpe, lecz zawsze można było kupić coś do jedzenia. Ale i ta idylla nie trwała długo. Hilda prała bieliznę dla amerykańskich żołnierzy. I pewnego dnia zginęło kilka sztuk bielizny. Amerykanie pobili Hildę i wyrzucili z pracy. Później dopiero okazało się, że to jedna z kochanek amerykańskich żołnierzy ukradła bieliznę dla swego brata. Ale Hilda nie chciała więcej wracać do tej pracy. Znienawidziła bowiem Amerykanów.

„Schupo” — policjanci zachodnio-berlińscy masakrują i aresztują uczestników demonstracji pokojowej.



Po długich tarapatach, Schultze otrzymał wreszcie swój zasiłek. Niewiele, bo ledwo 70 marek, ale zawsze dzieci miały co do ust włożyć. 70 marek — tyle wynosi komorne i świadczenia domowe, nic dziwnego więc, że rodzina Schultzów zalegała z komornym już od dwóch lat. Pewnego dnia zjawił się przeto komornik i przy pomocy policji wyrzucił bezrobotnego Kurta Schultze na bruk.

GŁODNI I BEZDOMNI

Dokąd iść? Pod most?... Ale w Berlinie nie ma takich mostów, bo Szprewa to mała, błotnista rzeczka. Są za to jeszcze pohitlerowskie bunkry przeciwlotnicze, betonowe twierdze — azyl dla biednych, wydziedziczonych i obdartych. W takich bunkrach, pełnych robactwa, brudu i szczurów gnieźdzą się dzisiaj w zachodnim Berlinie dziesiątki tysięcy osób. Starców i dzieci. Robotników i inwalidów. Zaraza, brud — na porządku dziennym, ale jest przynajmniej schronienie przed deszczem i nocą.

W zachodnim Berlinie są również obskurne baraki, które postawił kiedyś Göbbels dla zbombardowanych rodzin. Tutaj mieszka „arystokracja” bezrobotnych. Bunkry i baraki stoją zresztą w samym sercu zachodniego Berlina. Widziałem kilka nym w Grünwaldzie, tuż w pobliżu wspaniałych willi oraz letnich rezydencji berlińskich bogaczy, willi, w których na kilkanaście pokoiów przypadają dwie — trzy osoby! A czasem jeszcze pies.

Kurt Schultze, przypominając sobie pieskie życie w latach wojny i na froncie, zaciskał tylko pięść i lekroć spacerował ze swymi głodnymi dziećmi koło grünewaldzkich rezydencji możnych tego świata.

I pewnego razu Schultze, nie mówiąc nikomu — bo dość jest denuncjatorów w zachodnim Berlinie — udał się do swego majstra, z którym pracował przed wojną u Lorenza. Ten mieszkał we wschodniej części Berlina i tam pracował. Spotkał go kiedyś na robotniczej demonstracji na Placu Marksa i Engelsa. Przy piwie porozmawiali sobie wtedy i o dawnych i o nowych czasach.

„SZANGHAJ EUROPY”

Müller, tak nazywał się majster, znowu pracuje w swojej branży elektrotechnicznej, tylko że przedsiębiorstwo przeszło na własność narodu. Ma dobrą — powiada — pensję, dostaje premie. A pracy starczy dla wszystkich. Ma ładne mieszkanie w nowym bloku. Dzieci chodzą do bezpłatnych szkół, chłopak jest już w FDJ i dobrze się uczy. Właśnie dostał odznakę „Za

dobłą naukę” i pojedzie pewnie na obóz letni do Turynii. Często chodzą z żoną do kina i teatru („Ta Emma to ma szczęście” — myśli w duchu Schultze o żonie majstra. Jego biedna Hilda nie była w teatrze od lat...). Mają książki. Latem wyjeżdżają na wczasy. Kupił sobie niedawno meble w HO (odpowiednik naszego PDT). Na raty.

Obaj przyjaciele poszli następnie na spacer po Friedrichstrasse. Ładne, nowe sklepy, kawiarnie, bary — pełne uśmiechniętych ludzi. Nie ma żebraków na ulicach — tej plagi zachodnich sektorów. Robotnicy czują się tutaj jak u siebie w domu. To rzuca się po prostu w oczy, jeśli przypomnieć sobie widok przynajmniej ulic Charlottenburga czy Schönebergu, domy strasznych mieszczań. Na wschodzie domy towarowe dla ludzi pracy. Na zachodzie — luksus dla bogaczy. Zachodni Berlin nazywają niektórzy Szanghajem Europy. Widocznie — jeśli weźmiemy pod uwagę dawny Szanghaj mandarynów — ze względu na różnorodny, kosmopolityczny tłum, nielegalny handel, rozpustę i hulaszczę zabawy, przemysłników, gangsterów i zbrojców. To porównanie zachowało swój sens w stosunku do osławionej ulicy Kurfürstendamm, gdzie wszystkie sklepy, bary i domy okupowane są przez obcych. Dla nich grają tutaj kabarety i męczą się chude tancerki w podziemnych spelunkach. Kto kupuje dziś dywany i obrazy w zachodnim Berlinie, owe cacka antyczne i stylowe meble, wytworne limuzyny i wyszukane jedwabie i perfumy? Oczywiście, że nie Niemcy!

Wie o tym dobrze i Kurt Schultze, który nieraz godzinami wystawał przed witryną żywnościowych sklepów. Obserwował podjeżdżające bezszelestnie samochody i ludzi, którym sklepikarze w usługach ukłonach wynosili do auta całe kosze najrzadszych delikatesów, których smaku ani sposobu jedzenia nie znał Schultze. A gapiom, takim jak on, burczały tylko żółdki w takt zapuszczanych motorów, przy kierownicy których wygodnie siedziały berlińskie pasibrzuchy...

Schultze znał doskonale te twarze. Przecież ci sami ludzie dobrze jedli za Hitlera, nie gorzej po wojnie, kiedy za antyki i dywany można było otrzymać od amerykańskich okupantów czego tylko dusza zapagnie. Biednym — jak Schultze — których wysyłano na front po to, aby właściciele limuzyn mogli spokojnie obliczać wojenne zyski, amerykański oficer pozostawiał na ulicy niedopałek papierosa.

ROBOTA ODWETOWCÓW

Od tych czasów, kiedy Schultze wrócił z niewoli, zmieniło się tylko tyle, że przybyło więcej luksusowych hoteli i sklepów i więcej bezrobotnych. Zachodni Berlin, w którym żyje 2,5 miliona ludzi (w tym prawie połowa z zasiłków społecznych), stał się przyczółkiem amerykańskiego imperializmu we wschodnich Niemczech, oazą dywersji i szpiegostwa. Tutaj, ze szkatuły planu Marshalla wydaje się dziesiątki milionów marek na propagandę nienawiści, na „wojnę psychologiczną”, na korupcję i finansowanie renegatów klasy robotniczej, ale oczywiście nie ma pieniędzy na wdowy i sieroty po działaczach antyfaszystowskich, na budowę szkół i szpitali. Deficyt budżetowy zachodniego Berlina sięga setek milionów rocznie, pokrywanych przez Wall Street pod warunkiem, że senat Ernsta Reutera będzie strzegł podziału miasta jak oka w głowie. I klika berlińskich podżegaczy („Berlin wart jest wojny”) robi wszystko co może, aby podział Berlina pogłębiać, aby nie dopuszczać do jedności klasy robotniczej, aby szerzyć nastroje wojny domowej.

Kurt Schultze, jak tysiące jemu podobnych, wie dzisiaj, po siedmiu latach głodowania, co oznacza amerykańska okupacja. Wie, że Wall Street i jej berliński agent, Reuter, wydają miliony na mobilizację przyszłego „mięsa armatniego”. Wie również o tym, że nędza i bezrobociem pragną oni przyspieszyć i spotęgować odwetowe nastroje i myśli o rewanżu. Ale ci, którzy, jak Kurt Schultze, byli na wojnie, znają i odwrotną stronę medalu.

STUTYSIĘCZNY...

I dlatego pewnego wiosennego dnia Kurt Schultze wraz ze swoją rodziną i skromnym dobytkiem opuścił hitlerowski bunkier w Grünwaldzie i potajemnie przeniósł się do demokratycznego sektora. Na Placu Poczdamskim, tu gdzie krzyżują się dwa światy, czekał na niego jego stary majster, Müller.

Gdy nazajutrz Schultze w pożyczonym kombinezonie zjawił się w towarzystwie Müllera w fabryce, robotnicy przyjęli go radośnie.

Był zresztą jeszcze jeden powód do radości.

Schultze był właśnie owym stutysięcznym robotnikiem zachodnio-berlińskim, który przybył do demokratycznego Berlina, aby walczyć o pokój i zjednoczenie Niemiec. A Plan Pięcioletni NRD potrzebuje coraz więcej rąk do pracy.

Witając Schultzego, robotnicy zaśpiewali pieśń rewolucyjną Brechta — „Solidarität”. Śpiewali ją starzy i młodzi, trzymając się za ręce. Przez hałą fabryczną płynęły słowa o solidarności klasy robotniczej, o tym, że w jedności siła.

I Schultze nucił wraz z nimi, choć nie znał jeszcze tych słów, których treść rozumiał dobrze.

Czuł tylko ucisk w krtani, a choć widział i przeżył w swoim trudnym życiu wiele ciężkich momentów, przecież nigdy się nie wzruszał.

Było mu więc trochę wstyd, gdy poczuł nagle łyż na nieogolonych policzkach.

Były to jego pierwsze łyż radości.

Robotnicy berlińscy świętowali dziś bowiem jedność klasy, której drobinką był bezrobotny monter Kurt Schultze, do wczoraj sponiewierany i maltretowany mieszkaniec zachodniego Berlina, dzisiaj — wolny obywatel Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

STADA WYCHODZĄ NA ŁĄKI

TADEUSZ SARNECKI

PRZEZ całą noc wiał od Przełęczy Dukielskiej silny, jednostajny wiatr, a że Fedak, nocny strażnik spółdzielni „Zgoda” nie ubrał się dość ciepło, przeziął do szpiku kości. Aby rozgrzać mięśnie, biegł przed świtem wokół zabudowań i zamasyście machał ramionami. Z prawdziwym zadowoleniem powitał wreszcie chwilę, gdy mógł już uderzyć drągiem w pustą gilzę po „Katuszy”. Wtedy kończyła się jego służba, a zrywali się z łóżek oborowi.

Jak zwykle pierwszy przyszedł Stanisław Pantol. Łagodnemu światłu porannemu otworzył szeroko wrota w obu licowych ścianach obory, wlało się więc do wnętrza natychmiast i poderwało z legowisk — piękne, czerwone krowy.



Obora jurowiecka należy do najlepszych obór zarodowych polskiej rasy

czerwonej. Krowy są tutaj rosłe i dają mleko z wysoką (ponad 4%) zawartoś-

cią tłuszczu. W mleczarni litr takiego mleka przyjmuje się za półtora.

Ogromne swe łby wtykały stopniowo w okienka drabek.

Wkrótce nadeszła Katarzyna i od razu wypełniła krzykiem cały budynek. Spiesznie wygarniała obornik i kładła nową ściółkę przeganiając krowy z miejsca na miejsce.

— Danusia, Zyta, nastap się! No, gdzie leziesz, nie widzisz, wprost na nogi! Ach ty podła, czekaj, czekaj, dam ci ja jeszcze! Mewa, Cyranka, Dora, nastap się, nastap się! Hoop!

Krowy, ociążałe wezbranym w nocy mlekiem, poruszały się niechętnie, interesowało je zresztą tylko jedno — jak podebrać trochę brukwi sąsiadce, jak ukraść makuchu. Lecz z porządkami należało się spieszyć, powinno być już czysto, gdy nadejdą dojarki — kurz nie może zaproszyć mleka. Katarzyna krzyczała coraz głośniejsze, zbliżała się jednak do końca. Gdy doszła do cieląt, Adam Stabryla przyniósł bańki i przy pierwszej krowie usiadła na stołeczku dojarka Anna. Zapanowała cisza, słysząc było tylko mlaskanie ozorów i tryskanie mleka do skopków.

Przysiółek Popiele, w którym mieszkał przewodniczący Fedorenko, rozsiadł się na wzgórzu, łagodnie opadającym ku łąkom. Za nim białała wśród drzew długa obora jurowiecka. Minawszy strumień Fedorenko mógł już widzieć jak stado krow wypędzono na drogę i skierowano ku pastwisku. Szło długim, ruchliwym sznurem radośnie porykując. Po długiej zimie po raz pierwszy spróbuje świeżej, soczystej paszy.

Krowy jurowieckie, choć zakupiono je w różnych stronach sanockiego powiatu, rasowo przedstawiały się nader jednolicie. Było to możliwe tylko dlatego, że w całym rejonie podgórskim hodowano czerwone bydło polskie, doskonale rozwijające się w miejscowych warunkach klimatycznych. Stąd zarodowe pary kupowano nawet za granicę, głównie do Szwecji i Norwegii.

Fedorenko wrócił myślą do momentu założenia spółdzielni i czuł, jak rozszala go zadowolenie z tego, że zdołał nakłonić ludzi do hodowli. Dochód z obory pokrywał wszystkie krótkoterminowe pożyczki i pozwolił na poważną rozbudowę gospodarstwa. A teraz? Byli jeszcze tacy, którzy sarkali na bydło, obawiali się, że zeżre wszystkie plony. Czyż jednak nie zmienia ostatecznie swego stanowiska, skoro rząd wydał specjalny dekret, gwarantujący dalszy rozwój hodowli? O sobie to tylko mógł powiedzieć, iż dobrze przewidywał drogi gospodarki narodowej na wsi.

Niektórzy twierdzili: — Fedorenko to dziwak, jest jakby śpiący, a nagle budzi się i tryska energią, aż wszystko się trzęsie. Śpiący nie był jednak nigdy. Po prostu, gdy jest tak cichy — myśli, a ma o czym myśleć i dnia na to za mało. Powstawał w nim nowy plan, odżyły dawne, na pewien czas zagasłe myśli. Tak, tak, tak będzie dobrze!

Jurowce posiadają sporo łąk natural-

(Zdjęcia: T. Sarnecki i K. Jarochoński.)

nych i pastwisk sztucznych. Wysokobiałkowe trawy wieloletnie, mieszanki, koniczyna, pozwalają na prawdziwy rozmach hodowlany. I atmosfera wśród członków spółdzielni jest jak najlepsza. Czyż nie przychodzą do obory sprawdzać, o ile podnosi się mleczność każdej krowy po zastosowaniu nowej metody karmienia? Czyż widząc zmiany w zewnętrzny wyglądzie bydła nie wykrzykują z zadowoleniem: O, boki są coraz gładsze! Czyż w wolnych chwilach nie asystują dziennej toalecie krow, polegającej na starannym czesaniu zgrzebłem i szczotką? Gdy skóra nabierze przyjemnego połysku, czyż nie gładzą jej pieszczotliwym ruchem dłoni?

To jest najważniejsze. Bo bez zamilowania do hodowli, daleko nie ujedziesz. Krów będzie wiele, a wyniki? Szkoda mówić!

Do południa nie było ani chwili czasu. Przyjechała wycieczka młodzieży z Kołaczyc, później aż trzy grupy chłopów, decydujących się na założenie spółdzielni. Zebrali się dopiero przed wieczorem. I gdzie? Oczywiście w oborze. Nie było dziś bardziej odpowiedniego miejsca.

Przy żłobach stały tylko dwa buhaje: Feluś i majestatyczny Pomagier, ważący ponad 650 kilogramów. W osobnych przegrodach kłębiły się najmłodsze cielęta, zgarniające mięsistymi, chwytliwymi jęzarami całe wiązki silnie pachnącego siana.

Tutaj odnaleźli ich chłopci z pobliskiego Srogowa. Byli czymś bardzo zaferowani, przywitali się jakoś niezręcznie.

— Krowy jeszcze na pastwisku?

— A jeszcze.

— Przyjdą pewnie wkrótce.

— Przyjdą.

— A czego chcecie? — Głos Fedorenki był nieco opryskliwy, chciał pozbyć się przybyszów jak najprędzej, aby załatwić tamtą sprawę, tę od rana.

— Nie sprzedajecie czasem której? Moglibyśmy kupić.

— Kupić?

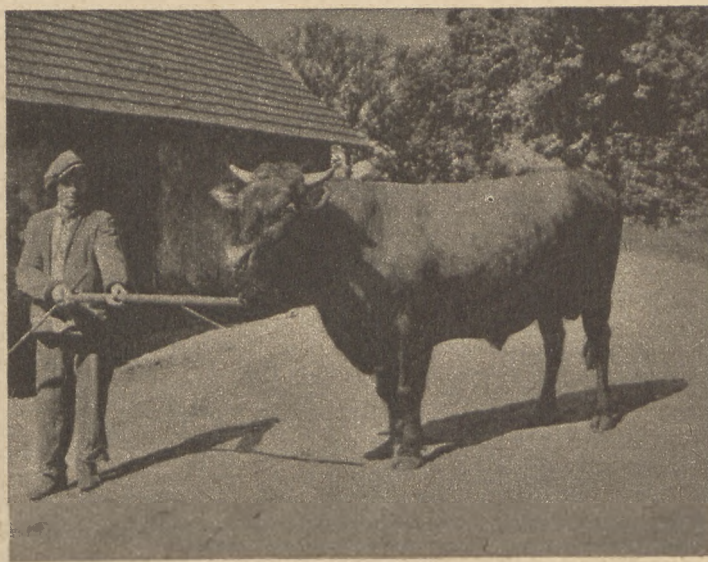
Zdziwienie Fedorenki zagłuszył zgodny, powitalny ryk Felusia i Pomagiera. We wrotach od strony okólnika zakotłowało się tak gwałtownie jakby pojawił się tabun bizonów. Nad bydlęcym rozgwarem wznosił się potężny krzyk Katarzyny: — Danusia, Zyta, a gdzieście zawędrowały? Mewa, Cyranka, Dora, Zorza, na swoje miejsca! Nie widziacie tabliczek z waszymi imionami? Ach, wy analfabetki!



Katarzyna Król szczególnieymi względami otacza swą ulubioną „Sarenkę”.



Praca dojarek nie jest łatwa. Wymaga wprawy, cierpliwości i siły. Najbardziej doświadczoną dojarką jest Anna Pantol.



Buhaj „Pomagier” to wspaniały okaz swej rasy. A waży? Bał... w wieku lat czterech osiągnął 650 kilogramów!

Balazy ciąg na str. 14



AJEM NICE „D A M Y Z GRONOSTAJEM.”

JAN BIAŁOSTOCKI

Leonardo da Vinci, artysta i myśliciel epoki Renesansu. Kształcił się we Florencji w warsztacie Andrea Verrocchio. Działal w Mediolanie — na dworze Sforzów, we Florencji, w Rzymie. Ostatnie lata spędził we Francji, zaproszony tam przez Franciszka I. Pozostawił niewielką ilość skończonych dzieł. Nie znamy jego rzeźb ani dzieł architektonicznych. Najstojniejsze malowidła: „Ostatnia Wieczerza” (w klasztorze Santa Maria della Grazie w Mediolanie), „Św. Anna Samotrzeć” (Luwr), „Madonna wśród skał” (Luwr), „Mona Liza” (Luwr), „Św. Hieronim (Watykan), „Pokłon trzech królów” (Florencja, niewykończony), kilka portretów (Wiedeń, Mediolan, Luwr, Kraków — muz. im. Czartoryskich). Liczne są jego szkice, rysunki o charakterze studiów naukowych, projekty techniczne. Jako uczony, Leonardo studiował przyrodę w zakresie botaniki, anatomii, geologii, meteorologii, fizyki, astronomii i w innych jeszcze dziedzinach. Był znakomitym matematykiem. Pierwszy stosował i głosił wyłączość metody doświadczalnej w nauce.

26 KWIETNIA 1498 roku przybył do Mediolanu konny poseł z Mantui. Wiózł pismo od Izabelli d'Este dla małżonki hrabiego Bergamino — Cecylii Gallerani, rezydującej w pałacu Broletto.

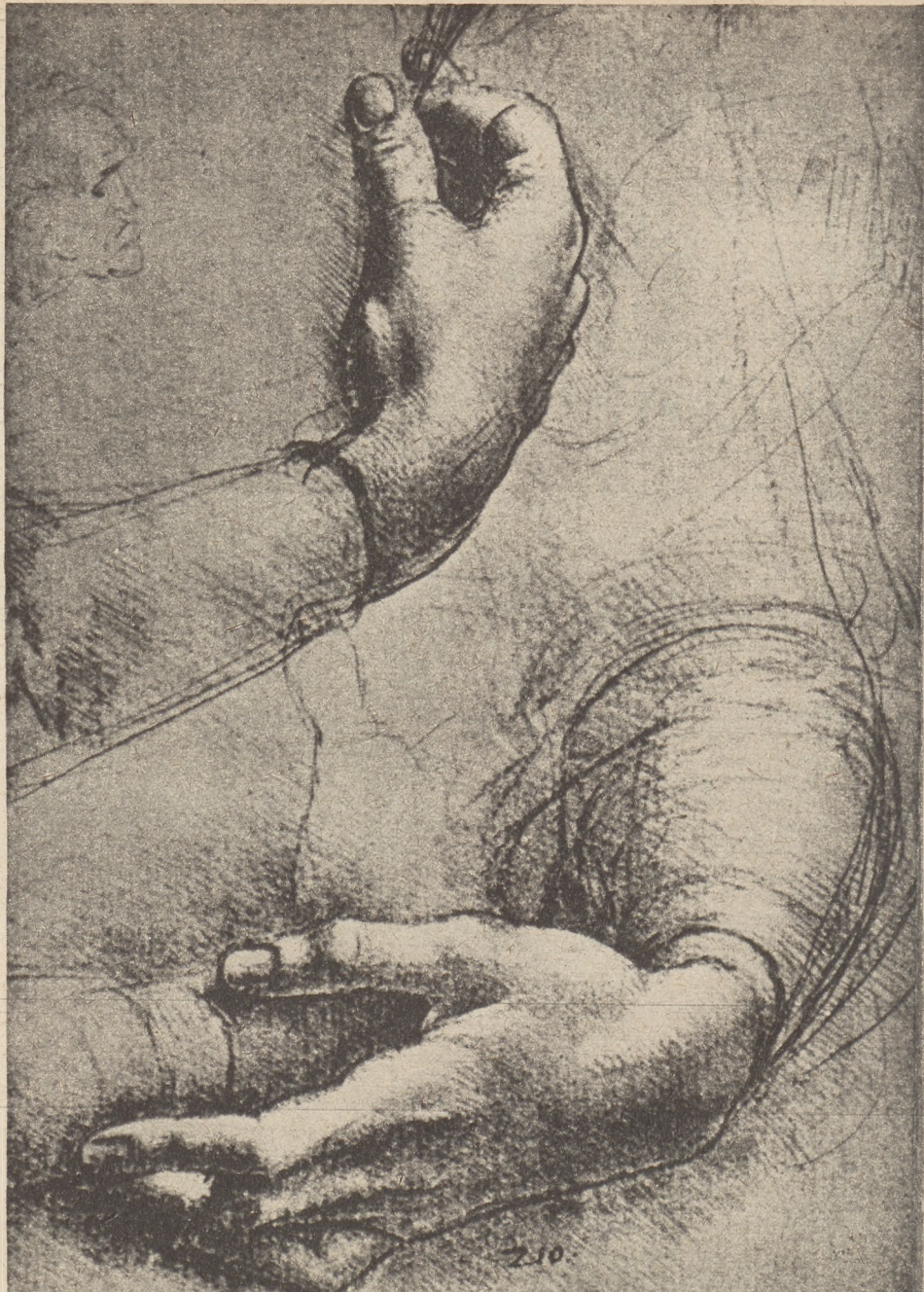
„Ponieważ zdarzyło nam się dzisiaj widzieć kilka pięknych portretów ręki Zoanne Bellino — pisała mantuańska miłośniczka malarstwa — przyszedł nam na myśl dzieła Leonarda i zapragnęliśmy je zobaczyć dla porównania z tymi, które tu posiadamy; pamiętając, że Was malował z natury — prosimy, byście zechcieli przesać nam ten Wasz portret przez kawalera, którego specjalnie w tym celu wysyłamy; niezależnie bowiem od porównania, do którego portret nam posłuży, chętnie zobaczymy Wasze oblicze, a po dokonaniu porównania obraz zaraz Wam odeślemy”.

Zadość czyniąc prośbie tak osobliwej, pisała do Izabelli Cecylia Gallerani:

„Pojęłam, jak mi WMPani pisałaś, że chętnie byś obejrzała mój portret;

więc go posyłam a jeszcze bym go chętniej posyłała, gdyby do mnie był podobny. Lecz niechaj WMPani nie sądzi, iż pochodzi to z winy malarza, gdyż zaiste, przekonana jestem, że nie ma on sobie równego; jest tak jedynie dlatego, że portret wykonany został gdy byłam w wieku tak jeszcze niedoświadczonym, iż wygląd mój zmienił się potem zupełnie; tak bardzo się zmieniłam, że gdy patrzy się na obraz i na mnie jednocześnie, nikt by nie osądził, że dla mnie był namalowany”.

Pisząc te słowa, Cecylia Gallerani była już trzydziestokilkuletnią kobietą, od paru przynajmniej lat małżonką hrabiego Bergamino. Dawno już minął czas, gdy jako młoda dziewczyna była centralną postacią mediolańskiego dworu. Działo się to w latach osiemdziesiątych XV wieku. Chytry i ambitny Sforza Lodovico zw. „il Moro” (Murzyn), samowładny pan Mediolanu, umiał w sposób właściwy wielu renesansowym tyranom, połączyć bezwzględna walkę o swe interesy polityczne i osobiste z entuzjastycznym



LEONARDO DA VINCI. Studium kobiecych rąk. (Windsor, Biblioteka Królewska).

ARTUR MIEDZYRZECKI

LEONARDO DA VINCI

(FRAGMENT)

„... Nagle zbudziły się we mnie dwie siły: strach i pragnienie; strach z powodu groźnej, ciemnej jaskini, pragnienie, by zobaczyć, czy tam wewnątrz jest jaka rzecz przedziwna”.
(Pisma Leonarda da Vinci zebrane przez J. P. Richtera — tłumaczenie Leopolda Staffa).

Pomiędzy skałami dwiema pieniący się potok płynie,
A niżej jest gaj oliwny i cyprys — wysmukły płomyk.
Zbocza Monte Albano łagodnie spadają w kotlinę;
W zielonym dorzeczu Lukki są białe wesołe domy.

Stoją przy ścieżce stromej wyniosłe maczugi z kamienia,
Chłopiec, co na nie spogląda, ma oczy bystre i mądre.
Oto jest ciemność jaskini. Pradawny zwierz w niej skamieniał
I górkim stał się szkieletem, stugarbnym szczytów wielbłądem.

„Morze tak groźnie nie ryczy, gdy bije w nie wiatr północny,
Pomiędzy Charybdą i Scyllą, falami spienionymi;
Ani Stromboli czy Etna, kiedy z czeluści płonących
Szalony żywioł strzela i żyzne spopiela doliny —

Jak głos, co woła wciąż do mnie, bym poznał przedziwne rzeczy,
Oceniał spod ciężkiej powieki kształt ich i wiek poważny,
Odkrył ich związki wzajemne, mroki zawiłe oświecił
Cierpliwym tokiem doświadczeń, silniejszym od mej bojaźni”.

O Leonardo, opuścisz ludne ulice Florencji.
Odtrąci rzeźbę Mediolan i rumak gliniany pęknie;
Lecz marzyć będziesz o ptaku, na którym prawnuk poleci
W świat twojej wielkiej tęsknoty, w sny rzeczywiste i piękne.

Mówisz: „ten się nie cofa, kto z gwiazdą przewodnią się związał”,
Mówisz: „nie ugnie mnie trudność” i nie znasz granic poświęceń.
I mija tyran twej ziemi jak minął wenecki doża,
A lud przyszłości nadchodzi, aby ucisnąć twe ręce.

mecenatem naukowym i artystycznym. Jego mediolański dwór stał się jednym z najbardziej ożywionych ośrodków kulturalnych we Włoszech Odrodzenia. Architekt Bramante, matematyk Luca Pacioli, poeta Bernardo Bellincioni, muzyk i teoretyk muzyki Franchino Gaffurio — oto gwiazdy na mediolańskim firmamencie w dobie Ludwika Sforzy. Ale na pewno spośród postaci, krążących po salach Castello Sforzesco dwie były najbardziej fascynujące: uniwersalny już, choć młody jeszcze mędrzec, technik i artysta — Leonardo da Vinci i młodzianka dziewczyna, kochanka księcia — Cecylia Gallerani.

Nadworny poeta Bellincioni, sławiąc mecenat Sforzy pisał, że:

Jak pszczoła do miodu, każdy tu
mędrzec przybywa,
Swój dwór ma książę wirtuozów
pełen,
Z Florencji zaś przywiódł nam tu
Apellesa.

Mędrzy ściągali tam istotnie z daleka nawet, bo oto dwaj znakomici Grecy, po upadku Bizancjum szukający spokoju, Konstantynas Lascaris i Demetrius Chalcondylas, filologowie — byli jedną z ozdób nauki mediolańskiej.

„UROCZA I CNÓT PEŁNA NIEWIASTA”

W tym uczonym i wyrafinowanym otoczeniu Cecylia Gallerani lśniła swą urodą, inteligencją i wykształceniem; współcześni mówią o niej jako o osobie niezwykle utalentowanej. Pochodziła ze szlacheckiego rodu mediolańskiego, otrzymała wykształcenie, które pozwalało jej prowadzić rozmowę z filozofami, pisała i mówiła płynnie po łacinie. Zdolności literackie Cecylii wyrażały się w komponowanych przez nią wierszach, aż gotowi zawsze do łatwych pochlebstw nadworni poeci uwieńczyli ją tytułem „nowej Safony”. „Urocza i cnót pełna niewiasta” — mówi o niej Matteo Bandello, który często wspomina ją w swych nowelach.

Inne zapewne były kryteria cnotliwości w dobie Odrodzenia, skoro młodociana kochanka księcia bywa tym przymiotnikiem określana.

Cecylia dała Sforzy dwoje przynajmniej dzieci. Lodovico il Moro kochał ją — jak się zdaje — bardzo głęboko i zawsze otaczał wielkim poszanowaniem. Polityczne małżeństwo z Beatrycą d'Este położyło dopiero kres tej, blisko 10 lat trwającej, sielance. Dworzanie widzieli, że księżka nie cieszy się bynajmniej dopiero co poślubioną kobietą i tęskni wciąż za swą „innamorata”.

Cecylia, obdarowana majątkiem ziemskim i pałacem w Mediolanie, wydana została za mąż za hr. Bergamino. Gdy w rok po wymianie listów na temat portretu, panowanie tyra mediolańskiego skończyło się katastrofą francuskiej inwazji i ucieczką Sforzy, mąż Cecylii, zapewne „klient” Lodovica opuścił także miasto, chroniąc się z żoną do Mantui, a ciekawa niedawno jej portretu Izabella d'Este miała okazję polecać Cecylię Gallerani francuskim okupantom, ręką, że jest to „gentildonna, godna wszelkiego szacunku, dla cnot jej i obyczajów”.

Cecylia nie była więc na pewno kurtyzaną, jakich wiele rezydowało przy każdym dworze włoskim, była to osoba dużej klasy, umiejąca zyskać sobie nie tylko pochwały pochlebców ale także szacunek i uznanie ludzi poważnych.

KTO JEST AUTOREM?

Krakowskie Muzeum Czartoryskich posiada zabytek niezwyklej wagi, w którym krzyżują się te dwie — najciekawsze może — indywidualności, jakie były ozdobą dworu Sforzów w końcu XV wieku.

Jest to słynny portret dziewczyny z gronostajem, w którym większość historyków sztuki chce widzieć wizerunek Cecylii Gallerani, malowany przez Leonarda da Vinci. Obraz ucierniał bardzo w ciągu pięciuset prawie

lat istnienia, toteż wielokrotnie kwestionowano jego autorstwo, odmawiano go Leonardowi i upatrywano autora portretu wśród pomocników mistrza, jak Ambrogio da Predis czy Boltraffio. Jednak im lepiej poznawano obraz, tym mocniejsze się wytwarzało przekonanie, że pod przemalowaną i — być może — zniszczoną częściowo powierzchnią portretu istniało kiedyś arcydzieło wielkiego artysty.

Pogląd ten głosił już przed pięćdziesięciu laty polski historyk sztuki Jan Bóroz - Antoniewicz. Dziś, w najnowszych publikacjach zagranicznych poświęconych Leonardowi znajdujemy krakowski obraz wśród kilku zaledwie portretów, które przypisywane są z pewnością pędzlowi Leonarda.

Jest to istotnie jedno z najbardziej czarujących malowideł Renesansu. Podziwiać można prostotę i zwartość kompozycji obrazu, który jak gdyby cofał się przed zbyt natarciwym podkreśleniem swojej obecności i koncentrował wysiłek na tym, by postać kobiety, jej uroda, jej walory przemawiały przede wszystkim. Modelunek twarzy, szyi i piersi jest niezwykle delikatny, pędzel Leonarda kształtował go z piśczołową subtelnością; brak tu owych intensywnych, rozwianych cieni, którymi Leonardo charakteryzował plastykę postaci w swych późniejszych obrazach jak „Św. Anna Samotrzeć” i „Mona Liza”.

Prawa dłoń dziewczyny, lekko przytrzymująca ruchliwe zwierzątko na łonie, świadczy może najbardziej dowodnie o tym, kto jest autorem obrazu. Chyba tylko Leonardo da Vinci, artysta-uczo-ny, przyrodnik i anatom umiał wówczas namalować dłoń ludzką w sposób tak sugestywny, ukazując jej organiczną strukturę, jej zewnętrzną miękkość, pod którą czuje się jednak twardą kanwę mistrzowsko rozumianego szkiele-
tu kostnego.

Jednocześnie Leonardo — teoretyk i matematyk przemawia poprzez wyważoną kompozycję obrazu. Dłoń dziewczyny wpisana jest jakby w owalny kształt, bryła głowy także sprawia wrażenie doskonałej formy stereometrycznej. Ustawiony nieco ukośnie w lewo tors zrównoważony jest skierowanym w prawo spojrzeniem, z którym „rymuje się” zwrot głowy zwierzątka i ustawienie dłoni. Mimo przemalowań późniejszych, także kolorystyka obrazu zdradza mistrzowską rękę Leonarda.

Czy istotnie Cecylia Gallerani jest osobą przedstawioną na obrazie krakowskim?



BOLTRAFFIO I LEONARDO DA VINCI. „La Belle Ferroniere” (być może kochanka Lodovico il Moro, Lucrezia Crivelli) Paryż, Luwr.

Często portret ten bywa określany jako „Dama z łasiczką”. Jednak bliższe badania pozwoliły stwierdzić, że intencją Leonarda było przedstawienie nie łasiczki lecz gronostaja. Łasiczka w alegorycznym języku renesansowych humanistów oznacza rozpustę („luxuria”), gronostaj zaś, to znak czystości. Jasne, że malarz nie mógł „uhonorować” uroczej Pani symbolem rozpusty. Łatwiej już chyba wybaczymy Leonardowi wytworne pochlebstwo, jakim niewątpliwie był gronostaj — symbol czystości na rękę kochanki księcia Lodovico.

Gronostaj może być także rozumiany jako aluzja do osoby księcia, ponieważ Lodovico il Moro bywał niekiedy przez swe otoczenie zwany „ermellino”, co po włosku oznacza „gronostaj”. Dziewczyna, piśczołowym gestem trzymająca na ręku zwierzątko, symbol Lodovico, została w ten sposób przenośnie ale wyraźnie związana ze swym książęcym kochankiem.

Gdyby jednak ktoś dalej wątpił, czy portret istotnie przedstawia Cecylię — symboliczna mowa, dziś trudna dla nas do rozszyfrowania, lecz łatwo dostępna dla mediolańskich erudy-
tów obytych

z greczyzną, dostarczy mu nowych argumentów. Oto gronostaj po grecku nazywa się „galé”, jest więc zarazem jakby kartą wizytową panny Gallerani.

Nie dziwny się tej grze słów, nie jest to rzecz odosobniona; Leonardo ucieka się do podobnej aluzji symbolicznej i w innych swych portretach (np. jałowiec, po włosku „ginevra” w tle portretu Ginevry dei Benci w muzeum Lichtenstein w Wiedniu).

Mimo więc, że żaden napis ani nawet tradycja nie dają niezbitych dowodów, że obraz krakowski przedstawia Cecylię, analiza tego portretu pozwala stwierdzić to z dość dużym prawdopodobieństwem. Wiemy przecież, że Leonardo malował znakomitą niewiastę, bo o ten portret prosiła ją Izabella d'Este, wiemy, że był malarzem nadwornym miłującego ją księcia Lodovico, wiek osoby przedstawionej, symboliczne zwierzątko i styl obrazu stanowią argumenty potwierdzające.

Mamy poza tym jeszcze jeden dokument literacki związany z portretem Cecylii. Jest nim sonet — elegancki, choć nie głęboki — poety Bellincioniego: „O portrecie Pani Cecylii który wykonał mistrz Leonardo”. Jest to dialog, pomiędzy poetą i naturą, zazdrosną o dzieło Leonarda. Poeta wspomina tam między innymi, że malarz przedstawił Cecylię „gdy słucha tylko i nic nie mówi”. Jest istotnie w nastroju obrazu jakieś „muzyczne” nieledwie zasłuchanie. Jeśli dziewczyna sportretowana rzeczywiście słucha, to chyba właśnie muzyki, a nie uczonego dyskursu. Pamiętajmy, że Mediolan był wówczas jakby muzyczną stolicą Włoch a dźwięki dobywane z instrumentów przez najsłynniejszych włoskich i niderlandzkich wirtuozów często wypełniały sale Castello Sforzesco. Może w takim momencie muzycznego zasłuchania chciał Leonardo przedstawić Cecylię? Może tak właśnie tłumaczyć zapatrzenie i delikatny, ledwo widoczny, „leonardowski” uśmiech pięknej pani?

Przyznajmy tym razem rację dworskiemu pochlebcy — Bellincioniemu, który nie mylił się, kończąc swój sonet gładką tercyną:

Kto ją w portrecie zobaczy, choć
zbyt późno już będzie
By widzieć ją żywą, powie: niechaj
nam wystarczy

Oglądać to, co stworzyła sztuka
wraz z naturą.



LEONARDO DA VINCI. Profil dziewczyny, rysunek (może Lucrezia Crivelli), Windsor, Biblioteka Królewska.



LEONARDO DA VINCI. Profil kobiety (prawdopodobnie Izabella d'Este), rysunek (Paryż, Luwr)



LEONARDO DA VINCI. Studium do „Ostatniej Wieczerzy” (Windsor, Biblioteka Królewska).



Już na wstępie wędrówki po warszawskim Kiermaszu Książki przyjemna niespodzianka: egzemplarze swoich utworów podpisuje „sam” Broniewski. Ten egzemplarz będzie cenną pamiątką w domowej bibliotece, a spotkanie z wielkim poetą — niecodziennym przeżyciem dla młodego wielbiciela autora „Poematu o Stalinie”. Może kiedyś właściciel pamiątkowego autografu sam zostanie poetą, a wówczas wspominać będzie ze wzruszeniem to pierwsze spotkanie z ulubionym twórcą.

...KONIECZNA · JEST · NA · CAŁYM ·
FRONCIE · KULTURALNYM · OFENSywa
W · KIERUNKU · UPOWSZECHNIEŃ ·
I · UDOSTĘPNIENIA · KULTURY · DLA ·
CAŁEGO · NARODU · TRZEBA; ABY ·
PRZY · WYSOKIM · POZIOMIE · ARTYS-
TYCZNYM · KSIĄZKA · BYŁA · TANIA;
DOBRA · I · DOSTĘPNA · DLA · NAJSZER-
SZYCH · MAS ...

B. Kierut

Fot.: „Swiat” — Z. Malek, K. Jarochoński i J. Kosidowski.

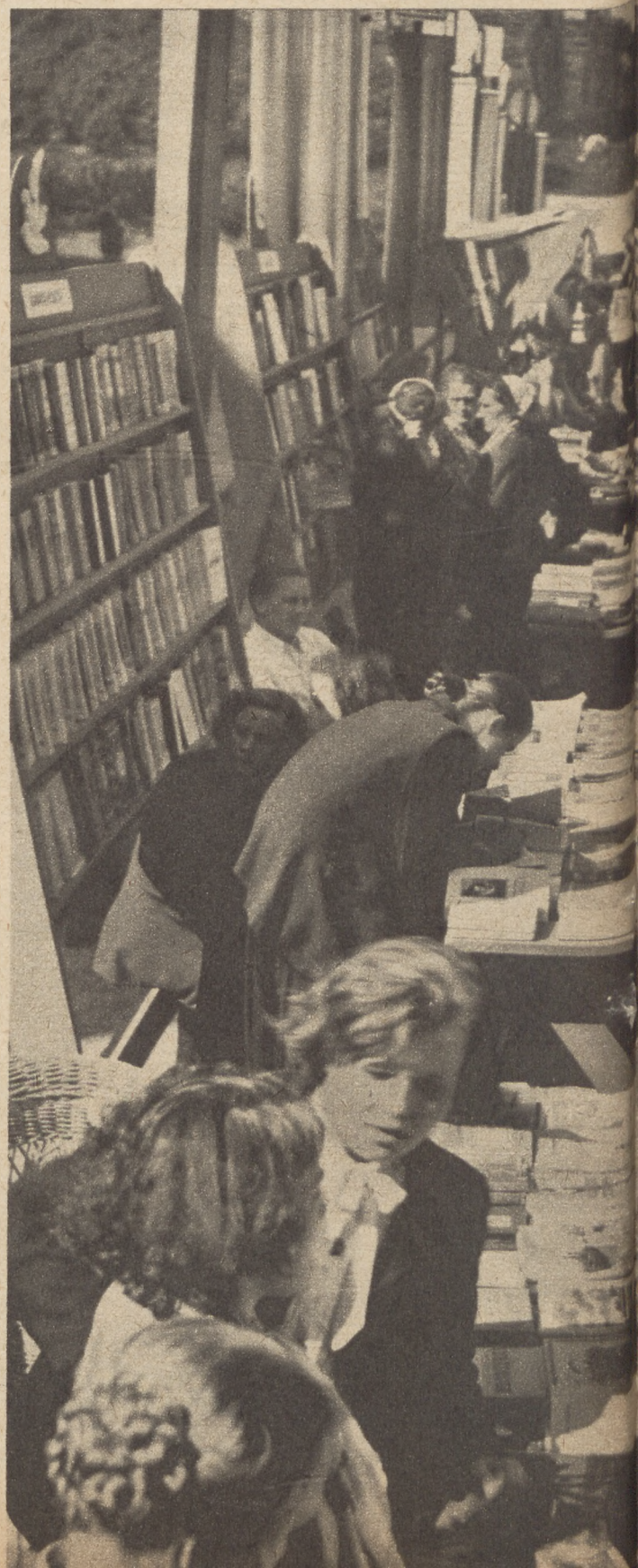
Każdy znajdzie na pewno książkę, która go interesuje... Trzeba tylko szukać uważnie w długim szeregu kiosków i stoisk rozstawionych w cieniu kwitnących drzew. Kiermasz rozciąga się na półtorakilometrowej przestrzeni.



Wśród tysięcy tomów, wśród wielowiekowego dorobku światowej kultury przeciąga korowód jej najzaciętszych wrogów... Kukły amerykańskich siewców tyfusu i dżumy przypominają, że wojna niesie zagładę życiu i kulturze.



Trudno jest dokonać wyboru, kiedy ma się przed sobą tylu kszizmu-leninizmu, literatura piękna, podręczniki szkolne...





„Niewielka trójka“ tańczy oczywiście trojaka. Występy dziecięcych, młodzieżowych i robotniczych zespołów artystycznych dostarczają podczas Kiermaszu urozmaico-nych atrakcji amatorom dobrej lektury. Popatrzymy jeszcze chwilę, zastanowimy się nad sprawunkiem, a potem... do domu, czytać świeżo zakupione książki...

dnym posiadania książek z różnych dziedzin: klasycy mar-
ezultacie każdy wraca do domu niemal z całą biblioteką.



Jeszcze jedna książka z podpisem pisarza; Mieczysław
Jastrun wręczy ją za chwilę wielbicielce... jego talentu.



„Wygrałem „Burzę“ Erenburga!“ Loteria książkowa
cieszy się dużym powodzeniem wśród dorosłych i dzieci.



Zapomniano o mnie? Nie, to tylko starsza siostra ku-
piła jedną książkę i pobiegła po drugą. Przyszły czy-

telnik odnosi się jeszcze obojętnie do wszelkiej lite-
ratury i drzemie spokojnie wśród kiermaszowego ruchu.



STADA WYCHODZĄ NA ŁĄKI

Dokończenie ze str. 9

Po kilku minutach hałas ustał. Krowy uwiązano na łańcuchy, znów więc wyjrzały przez okienka drabek i wilgotnymi, pięknymi oczami prosiły o paszę. Nażarli się wprawdzie trawy, ale na deser nie pogardziłyby otrębami lub makuchem.

Można już było podjąć tak gwałtownie przerwana rozmowę.

— A więc, chcielibyście kupić od nas krowy?

— Chcielibyśmy, prawda.

— Tylko, że my nie mamy na sprzedaż.

— Tyluchne stado i ani jednej?

— No, może...

Fedorenko szedł wzdłuż żłobów i z uwagą oglądał każdą sztukę. Nie wszystkie krowy były tak rasowo czyste jak tego pragnęli, niektóre posiadały zbyt jasne nozdrza, niewłaściwie zagięte rogi, białe plamy.

— Po pewnym czasie te można by sprzedawać, ale jeszcze nie teraz.

Lewa strona obory przeznaczona była na przychówek. Cztery zacielone jałowki, rosłe, silne, całe czerwone bez jednej skazy, spoglądały na nich przychylnie. Dalej w mroku czerniło się kilkanaście sztuk półrocznych cieląt. Chłopi ze Srogowa patrzyli na nie z wyraźną w oczach chciwością.

Spojrzenie to pochwycił Fedorenko i pozostali członkowie zarządu.

— Ładne?

— Już nie mogą być ładniejsze. Wazszego chowu?

— Naszego.

— I nie będziecie sprzedawać?

— Później, aż wypelnia się wszystkie miejsca przy żłobach.

Chłopi rozejrzeli się po oborze.

— No, to może już wkrótce.

Odchodzili zawiedzeni.

— Macie dobrze. Odstawicie mleko i spokój. A my?

— Co wy?

— Ziemi sporo, krów mało, będziemy musieli dochować. A to przecież nie od razu urośnie. Trzeba czasu.

— To czemu nie zadbałście o hodowlę wcześniej?

— Ba, nie każdy jest mądry, a teraz kłopot.

Gdy odeszli, Fedorenko po raz drugi dzisiaj odczuł coś w rodzaju triumfu. Spojrzał na członków zarządu. Byli zadowoleni, wizyta chłopów ze Srogowa otworzyła im oczy. Nie ze wszystkim jednak.

— Niech się martwią — rzekł Katynski. — Jak to łatwo chcą sobie poradzić, kupić i po kłopotcie!

Fedorenko jakby czekał na te słowa.

— Ech, Janie, Janie, nie rozumiesz. A pewnie, że powinniśmy sprzedawać, tylko nie mamy co. Paszy u nas nie brakuje, krów powinno być więcej. I nie można myśleć tylko o sobie. Patrz!

Zatoczył ręką koło. Stali na wzniesieniu obok domu zarządu. Rozciągał się stąd rozległy widok na całe Podgórze. Wzgórza szły za wzgórzami, łąki za łąkami.

Ile tu trawy? Morze. A trawa to mleko. Trzeba tylko krów, całych stad, licznych tysięcy. Bydła, aby tę trawę zęzały i przeżuły. Tym się powinniśmy zająć.

— Wyhodować takie stada, kiedy? Tyle roboty!

— Tak, czasu na to trzeba wiele — przyznał przewodniczący — ale nie zapominajcie, że zaczynaliśmy w spółdzielni od jednej krowy.

Pomału kształtowały się w nich te myśli, jakie wywołać pragnął od rana. Jeszcze raz powiedli wzrokiem po okolicy. Istotnie, idealne warunki na hodowlę. Byli dotychczas za ostrożni, nie wykazali dość rozmachu. I cóż, że czeka ich wielka praca. Sprawa warta jest wysiłku. Podali sobie ręce.

Wzniesienia zabarwiły się czerwienią i fioletem zachodzącego słońca. A gdy poszarzało, wyobraźnia zerwała wszelkie granice czasu: widzieli już, jak halami wędrowały wielkie stada bydła.

TADEUSZ SARNECKI



KATI CSORBAN ŻEGNA SIĘ Z OJCEM I RODZINNYM DOMEM. DRUHNY JUŻ SIĘ NIECIERPLIWIĄ...

NA WESELU KATI CSORBAN...

PIERWSZY o tym wiedział — jak zwykle — stary Matias. Kiedyś, idąc ulicą wsi Mozo-kevesd, zauważył rozmawiających 23-letniego Janosa Turi i nieco młodszą od niego Kati Csorban, najlepszą traktorzystkę we wsi. I pomyślał: ładna para... Tego samego dnia zaczął opowiadać sąsiadom, że Janos i Kati pobierają się.

Gdy w parę tygodni później wiadomość potwierdziła się, wszyscy zgodnie przyznali: Matias wiedział pierwszy... I wieś zaczęła przygotowywać się do wesela młodej pary. Dużo zmieniło się w ciągu ostatnich lat u chłopów węgierskich. Minęły głodne lata nieurodzajów, minęły czasy niewolniczej pracy na hrabiowskich ziemiach, czasy walk o ziemię i wodę. Pozostały jednak żywe tradycje ludowe, tradycje pielęgnowane od kilku wieków. Jedną z takich pięknych dawnych tradycji jest obchód weselny.

*

W obu domach, u Janosa i Kati, trwają od świtu przygotowania. Kobiety smażą, pieką, gotują, mężczyźni czyszczą do blasku konie i uprzęż, ubierają wozy... Oto w domu narzeczonej zjawia się swat. W wierszach na miejscu komponowanych wychwala zalety Janosa. Druhny przyklaskują mu z uznaniem — i rodzice Kati przyjmują

oświadczyny. Druhna zanosí narzeczonemu suto haftowaną koszulę — symboliczny dar od Kati.

A u Janosa zebrali się już druhowie. Zakładają narzeczonemu żartobliwy kołpak — symbol „zdrady” stanu kawalerskiego i „ciężkiego losu” małżonka.

Po ślubie odbywa się tradycyjny „targ”: przedstawiciele obojga młodych wychwalają na przemian ich zalety — wszystko oczywiście wierszem. „Targ” przerywany jest co chwila tańcami i wspólnym śpiewem. Wreszcie Janos „kupi” żonę za dzban wina, który wypijają jej rodzice.

Teraz barwny korowód weselny objeżdża całą wieś i zatrzymuje się przed nowym domem młodych. Na progu staje Kati; oddaje druhnym swój biały wieniec — symbol panieństwa.

Zaczyna się weselo: — ucztą, a następnie tańce. Podczas uczy Kati obchodzi gości z talerzykiem, obecni rzucają drobne monety — symbol poparcia i pomocy, na które młodzi mogą zawsze liczyć. Z kolei Janos z zapalonymi świeczkami w rękach opowiada (wszystko wierszem!) dzieje swojej miłości.

Do rana trwają tańce, śmiechy, śpiewy, rzewne i skoczne melodie. Cała wieś świętuje szczęśliwy dzień w życiu dwojga młodych.



Druhny odprowadziły pannę młodą do nowego domu — przy pożegnaniu składa ona w ich ręce symboliczny biały wieniec.



Za chwilę długi, barwny korowód gości pojedzie do domu narzeczonego.



Zgodnie z tradycją, druwna w dzień ślubu zanosí narzeczonemu piękną koszulę.



Pierwszą parę w czardaszu weselnym stanowi — to jasne — dwoje szczęśliwych.

LUCKY LUCIANO

CZYLI

TAJNIKI AMERYKAŃSKIEGO WYWIADU

W nr. 4 „Świata“ z 27 stycznia br. zamieściliśmy artykuł omawiający ponury koniec bandyty Giuliano, „króla z Montelepre“, szefa mafii sycylijskiej i jego powiązania z wywiadem amerykańskim. Obecnie drukujemy niejako dalszy ciąg historii o sycylijskich bandytach, amerykańskich gangsterach i ich wszechmożnych protektorach i opiekunach.

Gdy Lucky Luciano, zwany „królem świata podziemnego“ Nowego Jorku wyładował przed kilku tygodniami w Neapolu, oświadczył dziennikarzom, iż nie ma zamiaru zajmować się więcej polityką. Ale opinia publiczna nadal poświęcała temu amerykańskiemu „podarunkowi“ wiele uwagi. Hotel Turistico w Neapolu i Hotel delle Palme w Palermo, gdzie Luciano zajmuje luksusowe apartamenty, stał się punktem zbornym czołowych osobistości włoskiego świata podziemnego. Ze swymi osobistymi przyjaciółmi, przedstawicielami amerykańskiego wywiadu, włoskimi bankierami i delegatami Watykanu spotyka się Luciano w zacisznej willi w Postillipo, gdzie w otoczeniu gwardii przybocznej i jasnowłosej kochanki, mieszka ów następca Giuliana.

POCZĄTKI KARIERY THOMASA DEWEYA

„Sława“, jaka otacza nazwisko Lucky Luciano ściśle związana jest z osobą obecnego gubernatora stanu Nowy Jork, Thomasa Edmunda Deweya. Dzieje ich „znajomości“ sięgają roku 1936, gdy młody prokurator okręgowy w Nowym Jorku, Dewey, rozpoczął akcję przeciwko nowojorskim bandom gangsterów. Lucky Luciano, zwany także Charles lub Salvatore Lucania, nosił w tym czasie tytuł gangstera nowojorskiego nr 1. Banda jego posiadała wówczas przeszło 200 domów rozpusty, które przynosiły 13 milionów dolarów „czystego“ zysku rocznego.

Za kulisami akcji prokuratora Deweya przeciwko bandzie Luciano kryły się motywy polityczne rozgrywek między partijnymi. Luciano bowiem finansował partię demokratyczną, Dewey zaś robił karierę jako polityk partii republikańskiej. W r. 1936 Dewey postanowił zadać bandzie decydujący cios. Zorganizowana przez niego wielka oblawa w spełunkach nowojorskich zakończyła się aresztowaniem kilkuset osób, w tym 62 przywódców bandy z Lucky Luciano na czele.

11 maja 1936 r. rozpoczął się w Nowym Jorku proces Luciano. Rozprawa trwała cztery tygodnie. Sędziowie przesłuchali setki świadków, rekrutujących się głównie spośród sutenerów i prostytutek. „Król“ nowojorskich gangsterów skazany został na 30 do 50 lat więzienia. Skazanie Luciano stanowiło ciężki cios dla nowojorskich gangsterów. W sprawie tej interweniował nawet sam Frank Costello, niekoronowany król całego amerykańskiego świata podziemnego. Ale Dewey wydawał się być nieugięty.

Mimo to gangsterzy nie tracili nadziei. Znana jest wypowiedź jednego z nich:

„Ktoregoś dnia Dewey będzie nas potrzebował — polityka jest polityką. A my nie będziemy czekali 30 — 50 lat“. Gangster miał rację...

Mijały lata. Nadeszła wojna. W r. 1941 Dewey zgłosił swą kandydaturę na stanowisko gubernatora stanu Nowy Jork.



Lucky Luciano

Costello spodziewał się, że Dewey zwróci się do niego o pomoc w kampanii wyborczej, a w zamian uda się uzyskać ulaskawienie Luciano. Gdy jednak Dewey zachował rezerwę, zaczął się nacisk na polityków waszyngtońskich. Najbardziej przychylnym sprawie ulaskawienia Luciano okazał się ówczesny minister marynarki, Forrestal. 8 lutego 1943 r. dwaj wysocy urzędnicy ministerstwa marynarki zwrócili się do sędziego

Sądu Najwyższego w Nowym Jorku, Philipa Y. McCooka, żądając zwolnienia Lucky Luciano i zgłaszając gotowość złożenia kaucji w wysokości miliona dolarów. Chodziło rzekomo o sprawę „bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych“. Ministerstwo marynarki dowiedziało się, że w porcie nowojorskim mają nastąpić akty sabotażu. Zdaniem waszyngtońskich admirałów, mógł temu przeciwdziałać tylko... gangster Luciano.

„CENNE INFORMACJE“

Po kilku tygodniach jeden z delegatów ministerstwa marynarki, oficer wywiadu, komandor Charles Haffenden, odbył z Luciano długą rozmowę w więzieniu. Z kolei miejscowy prokurator skontaktował Haffendena z obrońcą Luciano, który sprawę przekazał Józefowi Guerin, adwokatowi innego znanego gangstera, Józefa Lanza — znanego pod pseudonimem Socks — szefa bandy kontrolującej banki rybackie i handel ryb w Nowym Jorku.

Jak twierdzili przedstawiciele ministerstwa marynarki, uzyskali oni tą drogą „cenne informacje“, które pomogły im rzekomo w walce z bandą. Gdy potem komisja senatu USA badała okoliczności ulaskawienia Luciano, nikt nie potrafił przytoczyć żadnych konkretnych danych, o jakie to „cenne informacje“ chodziło.

Wkrótce po wizycie Haffendena, do celi Luciano zgłosili się dwaj jego przyjaciele: Willie Moretti, wódz gangsterów z New Jersey i Meyer Lansky, pełnomocnik Franka Costello. Ten ostatni dostarczył Luciano długą listę gangsterów amerykańskich pochodzenia włoskiego, którzy zostali deportowani ze Stanów Zjednoczonych do Włoch. Listę tę przekazał Luciano z kolei wywiadowi amerykańskiemu, który szukał sprzymierzeńców w akcji przeciwko lewicowym partyzantom włoskim. Od tej chwili Luciano — mimo iż przebywał jeszcze w więzieniu — stał się jednym



Frank Costello

z filarów amerykańskiego wywiadu. Po zakończeniu wojny komandor Haffenden złożył pisemną deklarację, że „wkład Luciano w dzieło zwycięstwa był poważny“. Odtąd sława Luciano jako „bohatera narodowego“ stale rosła.

Tymczasem Dewey znalazł się w tarapatkach politycznych. Podczas kampanii wyborczej w roku 1946, partia demokratyczna wyraźnie brała górę. Szanse Deweya, który ponownie kandydował na gubernatora, były minimalne. A przegrana oznaczałaby koniec jego kariery politycznej. I oto „pogromca gangsterów“ — jak go nazywała przekupna prasa — Dewey, zwrócił się o pomoc do wszechmocnego Franka Costello. „Król bandytów“ nie odmówił poparcia. Cały świat podziemny został zmobilizowany. Gangsterzy zebrali milion dolarów na propagandę przedwyborczą Deweya. I Costello wygrał wybory dla Deweya. Za „pomoc“ trzeba było zapłacić. Luciano został zwolniony z więzienia. Wymowne jest przy tym oświadczenie, jakie złożył Dewey: „Z chwilą przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, sztab amerykańskich sił zbrojnych zwrócił się do Luciano o pomoc, ponieważ inni zawiedli. Luciano dostarczył cennych informacji o działalności przeciwnika“.

WIELKI PRZEMYT

Po zwolnieniu z więzienia, Luciano deportowany został ze Stanów Zjednoczonych i udał się na Kubę, gdzie mieściła się w tym czasie międzynarodowa centrala przemytników narkotyków. Stamtąd kierował przemysłem narkotykowym do USA. Ostatnio Luciano powrócił do swego rodzinnego kraju, gdzie też przeniesiono centralę bandy. Produkowana w Trizonii morfina, kokaina i heroína, przez Neapol i Genuę dostarczana jest obecnie do Nowego Jorku, gdzie popyt na narkotyki stale wzrasta.

Wkrótce po powrocie Luciano do Włoch wykryto na statku „Vulcania“ wielki przemyt kokainy. Policja włoska aresztowała w Trapani znanych gangsterów — Francesco (Frank) Coppoli i Giuseppe Corso. W kilka dni później na corso Vittorio Emanuele w Rzymie wydarzyła się tajemnicza katastrofa samochodowa. Wielka ciężarówka najechała na sportowy samochód, którym jechał groźny konkurent Luciano, Salvatore Richietti. On to zadenuncjował u władz włoskich przemyt na „Vulcanii“. Richietti zmarł w szpitalu. Tajemnicza ciężarówka zniknęła bez śladu.

Powrót Lucky Luciano do Włoch to nie tylko przejęcie przez niego kierownictwa międzynarodowej bandy przemytników narkotyków. Lucky Luciano, stary współpracownik amerykańskiego wywiadu, następca Salvatore Giuliano na stanowisku szefa sycylijskiej mafii, to zarazem „wódz“ świata przestępczego krajów zmarszalizowanych. A na ich pomoc właśnie liczą teraz coraz bardziej zniechęceni dolarowi władcy europejskich kolonii Stanów Zjednoczonych.

RENÉ ANDRÉ

KUKIEŁKI CZESKIE

W miasteczku filmowym pod Pragę, reżyser czeski Karol Zeman (pamiętamy jego film „Król Lavra“) pracuje w atelier wraz ze swoim znakomitym zespołem... kukielkowym, nad dwoma nowymi długometrażowymi filmami, które na pewno, tak jak poprzednie, nie tylko zachwycą dziecięcych — ale i dorosłych kinomanów.

Oto tytuły filmów: „SKARB“ i „WYPRAWA W PRZESZŁOŚĆ NASZEJ ZIEMI“.

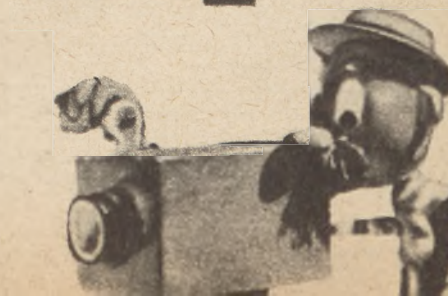
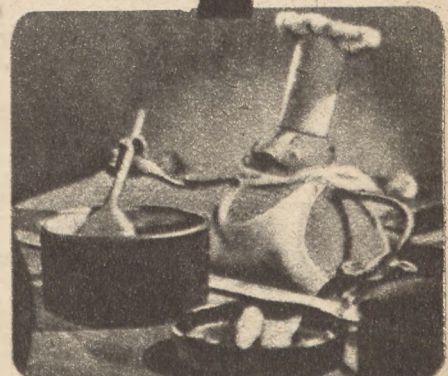
Oba te filmy są głęboko dydaktyczne. Tak więc np. w filmie „Skarb“ mieszkańcy egzotycznej wyspy odnajdują ogromne ilości złota, drogie kamienie — i wszyscy stają się bogaci... Rezultat? Piekarz przestaje wypiekać chleb, krawiec szyc ubrania, szewc buty, rybak niszczy sieć... Jednym słowem następuje zupełna dezorganizacja życia! Trzeba dopiero, żeby piraci porwali skarb... i zatoneli z nim w morzu, aby na wyspie wszystko potoczyło się normalną koleją — a tym samym wróciło szczęście.

„Skarb“ jest filmem kombinowanym, tzn. kukielkowo — rysunkowym. W drugim filmie Zemana, „Wyprawa w przeszłość naszej ziemi“ inna jest „kombinacja“: głównymi bohaterami są dwaj „żywi“ chłopcy, a pozostałe role (przedpotopowych zwierząt) odtwarzają kukiełki. Film ten, poza elementami rozrywkowymi, w pierwszym rzędzie ma ambicję zaznajomić widza z wiedzą o rozwoju życia na ziemi. Dlatego też nad scenariuszem pracuje wraz z reżyserem Zemanem wybitny paleontolog, profesor Uniwersytetu Karola w Pradze, prof. dr Jan Augusta.

OST



Reżyser Karol Zeman w atelier Ponížej: sceny z filmu „Skarb“



W BEDFORD-ROW

JAN LAM / wg. W.M. Thackeraya / 2

RYŚUNKI JERZEGO ZARUBY

Podczas gdy ta demonstracja odbywała się pod jednym pająkiem, pod drugim stała rodzina Gorgonów w szkarłatnym i błękitnym swoim blasku, otoczona torysami, którzy spoglądali szyderczo na hałasujących wigów.

— Jak tu czuć whisky — szepnął podporucznik Fitch do ucha panny Łucji. — I oto... to są wigi, czy jak to się nazywa? Cha! cha!

— Popili się, do miliona etc. etc. — rzekł generał do burmistrza.

— Któryż to jest Scully? — zapytała mylady, podnosząc od niechcenia lornetkę. (Myślała ona w tej chwili o owej scenie konfiturowej). — Czy to ten pijanica w zielonym fraku, czy tamten drugi, w granatowym?

— Jakiś, mylady — odparła burmistrzowa — czy może być, ażebyś go pani zapomniiała? Jużci, że to ten w granatowym fraku!

— Tęgi chłop, nie ma co mówić — rzekł podporucznik Fitch. — Chciałbym go mieć w mojej kompanii. Ma najmniej sześć stóp i dwa cale wzrostu, nieprawdaż, jenerale?

Nie było odpowiedzi.

— Ach, mam, niech mama patrzy — zawołały chórem trzy panny Gorgon — jedno z tych stworzeń wylazło na stolik wistowy! Co za potwór!

— Moim zdaniem jest to wcale przystojny młody człowiek — odparła panna Łucja naiwnie. Nie potrzebuje dodawać, że wówczas po raz pierwszy widziała swego Jańcia.

Lady Gorgon skarciła ją przesywającym wzrokiem za to niebaczne słówko, i zanosilo się już na burzę, gdy nagle, zachęcony okrzykami wigów, p. Jerzy August Fryderyk Grimsby Gorgon, niezbyt jeszcze biegły w polityce, zaczął podskakiwać w swojej błękitnej aksamitnej kurcie i nankinowych majteczkach, wołając: Brawo! Niech żyje Scully! Hurra!

— A będziesz ty milczał, ośle! — mruknęła mylady półgłosem, i chwytając młodego entuzjastę za kołnierz, oddała go niańce, która wraz z innymi sługami zaglądała przez drzwi do sali.

Można sobie wyobrazić, jak wszystko to podziało na nerwy lady Gorgon. Była to osoba zazwyczaj bardzo flegmatyczna, która kontentowała się tym, że zbywała swoich sąsiadów wyrazem cichej pogardy. W tej chwili jednak nienawiść dla p. Scully wrzała gwałtownie w jej łonie. Perkins wyciskał był właśnie dłoń swego Napoleona, a Napoleon zdawał się mieć jakiś wielki plan w swojej głowie. Przypatrywał się on bardzo uważnie pani jenerałowej.

— Piękna kobieta — rzekł zamyślony, trzymając jeszcze ciągle Perkinsa za rękę. Po chwili zaś dodał: — Ej, spróbuj!

— Co pan spróbujesz?

— Diabelnie piękna kobieta! — powtórzył znowu adwokat, który miał czule serce. — Pójdę! Panie Springer, powiedz pan skrzypkom, niech zaczynają!

Springer pobiegł na drugi koniec sali i dał znak kapelmistrzowi. W tej chwili ustały akordy hymnu narodowego i muzyka zagrała melodię: „Sir Roger de Coverly”. Nieprzejazdne obozy zmierzły się wzrokiem, podczas, gdy p. Scully, w towarzystwie swojego młodego przyjaciela, wystąpił na przód mocno zaczerwieniony, wkładając paliowe rękawiczki na ogromne swoje dłonie.

— Chce mnie angażować do kontredansa! — syknęła mylady, usuwając się w tył pod wrażeniem tego okropnego przeczucia.

— Goddam! Kiedy tak, to musisz z nim tańczyć — rzekł generał. — Czy nie widzisz, że ten łotr robi co chce w mieście! Milionkroćstotysięcy...!

Myłady chciała jeszcze coś mówić, ale nie było sposobu. Scully stał przed nią.

— Pani — rzekł liberalny deputowany z Oldborough — w takiej chwili... to jest chciałem powiedzieć, przy takiej sposobności... myłady... jakkolwiek nie jestem przyzwyczajony... hm, hm... czy myłady raczy wyświadczyć mi zaszczyt przetańczenia ze mną tego kontredansa?

Pierś pani jenerałowej wzdymała się, jak ocean wzburzony. Całe kwadratowe metry koronek, na kształt piany, podnosiły się i opadały, pod tym potężnym impulsem. Naszyjnik brylantowy, który zdobił szyję myłady, zdawał się wyprężyć i iskrzyć z podwójną siłą. Pióra strusie na jej głowie chyliły się jakby pod tchnieniem huraganu. Jednym słowem, lady Gorgon drżała ze złości, ale zmuszona powstrzymać się, skinęła tylko majestatycznie głową i rzekła:

— Z przyjemnością.

Scully, drżąc także, ujął jej rękę i stanął z nią na czele par tańczących. Perkins ze swej strony przypatrywał się najpierw trzem błękitnym Gorgonom, a następnie czwartej, pięknej i białej ubranej, i — może pod wpływem wina — zapomniawszy swoją zwykłą nieśmiałość

do tego stopnia, że prosił ją do tańca. Uśmiechnęła się i przyjęła.

Dobry ten przykład skutkował i za pierwszymi parami mnóstwo innych puściło się w taniec. Zapomniano o swarach politycznych. Wyborcy wigowie angażowali żony wyborców torysów, a córki stronników reformy podawały ręce synom konserwatystów. Pojednanie się Rzymian z Sabińczykami nie mogło być bardziej rozczulające. P. Springer, jako mistrz ceremonii, klaskał od czasu do czasu w dłonie, a muzyka, posłuszna skinieniu, cięła melodię „Sir Roger de Coverly” z coraz większym zapalem.

Nie wiem, co się stało młodemu Perkinsowi, który przedtem nienawidził kontredansa — teraz zaś uśmiechał się i uwijał po sali z piękną swoją danserką tak zawzięcie, że gdy już wszystkie pary ustały ze znużenia, ta jedna jeszcze wykonywała najrozmaitsze chasses-croise, balance, chaine, tour-de-main itd. sama dla siebie. Wtem, najmłodsza z panien Gorgon podeszła do panny Łucji i szepnęła jej do ucha bardzo głośno, szcząc i złośliwie:



— Łucja, mama powiada, że już dosyć będzie tego tańca z taką... taką figurą.

Łucja zarumieniała się, stanęła, spojrzała smętnie na Perkinsa, ukłoniła mu się i odeszła wraz ze swoją kuzynką w stronę gdzie siedziała partia Gorgonów. Perkins oślupiał tak, że nie miał odwagi odprowadzić jej na miejsce, a następnie wpadł w gniew srogi. — Figura! — zawołał i dusza jego zawrzała wściekłym republikanizmem. W tym radykalnym usposobieniu umysłu odszukał on swojego Napoleona.

Zastał go w salonie, przeznaczonym na bufet, chodzącego wielkimi krokami przed przypatrującą mu się ciekawie kawiarką i jej adiutantkami, ocierającego pot z czoła, gryzącego wargi. Uszy jego żarzyły się ponad białym kołnierzykiem, czerwone, jak gdyby były w płomieniach. Wielki ten mąż, ujrawszy Perkinsa, chwycił go za rękę i krzyknął gromkim głosem:

— Niech piorun trzaśnie arystokratów!

— O, niech trzaśnie! Ale cóż się stało?

— Co się stało? Ta kobieta, ta... ta piekielnica, ta wysnurowana, nadęta, bezduszna piwowarówna! Ja kochałem niegdyś tę kobietę, panie Janie! Ja... całowałem ją, dwadzieścia lat temu... byliśmy prawie zaręczeni... po pół dnia przechadzaliśmy się razem, ja, ona i guwernantka... mam jej włosy dotychczas w moim biurku, a oto dzisiaj, ledwieśmy raz przeszli przez salę, zabrała się i poszła, nie rzekłszy ani słowa. Chciałem odprowadzić ją do kanapy, ofiarowałem jej szklanek orszady, a ona do mnie: „Mój panie, wypełniłam moją powinność, nie mam osobistego żalu, ale uważam pana za zdrajcę wobec rodu Gorgonów, za zdrajcę i parweniusza! Jest to prostactwo arogancją z pańskiej strony, iż ośmielasz się mówić do mnie, i proszę, żebyś mnie pan więcej nie molestował”. Powiedziała mi to dosłownie, wobec dwudziestu osób, samych torysów! Ale wiesz co, panie Janie? Przy najbliższych wyborach postawię swoją kandydaturę przeciw jenerałowi! O, ta kobieta,

ta kobieta! A ja... ja ją jeszcze Kocham! — Tu p. Scully odpoczął i dla ochłodzenia połknął jedną po drugiej trzy filiżanki gorącej herbaty.

Należy mu przyznać, że opisał bardzo wiernie scenę, którą miał z lady Gorgon. Dodamy do tego, że partia torysów zachwycona była energią jasnej pani, a podporucznik Fitch, cały rozpromieniony, pobiegł do jenerała i opowiedział mu całą historię. Jenerał atoli zerwał się od wista, rzucił kartami o stół i podszedłszy ku swojej małżonce, rzekł do niej krótko i węzłowato:

— Jesteś pani wariatką!

— Nie zostanę tu ani chwili dłużej — odparła myłady — nie myślę znosić impertyencji tego obrzydliwego człowieka! Panie Fitch, zawołaj pan moją służbę! Henrietto, odbierz Łucję od tego kupczyka, z którym tańczy, i przyprowadź ją tutaj!

Miss Henrietta pobiegła uradowana, iż może sprawić przykrość kuzynce, i jak już wiemy, szepnęła jej głośno do ucha parę słów, których młody Perkins żadnym sposobem nie mógł wziąć za komplement. P. Fitch także rzucił się ku drzwiom, ale jenerał zatrzymał go za ramię i wydał taki rozkaz dzienny:

— Lady Gorgon, jesteś pani wariatką, powtarzam: wariatką! Ten drab, Scully, porywa wszystkich za sobą: mówił z wszystkimi, uśmiechał się do wszystkich, a pani ze swoimi diabelskimi minami — piwowarówna, do kroćset! — siedzisz tu nadęta jak królowa i do nikogo nie przemówisz słowa. Tymi przekłętymi fochami swoimi pozabiłaś mnie pani już jednego głosu w parlamencie, co wynosi tysiąc pięćset funtów rocznie. Nie myślę wcale tracić drugiego i dlatego zostaniesz pani tutaj, na balu i na kolacji, a dziewczęta niechaj mi tańczą z każdym przeklętym kominiarczkiem albo rzeźnikiem, jaki się nawinie i niechaj mi wszyscy diabli wezmą, do milionkroćstotysięcy bomb i granatów!

Myłady uznała, że należy ulec, zawołano tedy p. Springera i proszono go, ażeby dostarczył danserów pannom Gorgon. Wkrótce jedna z nich puściła się w tany z jakimś wigiem, utrzymującym biuro licytacyjne, a druga stanęła do kadryla z liberalnym prowizorem z apteki. Została tylko trzecia, panna Henrietta.

— Hej, panie, panie! — zawołał jenerał na młodego Perkinsa, który przechodził koło niego. — Tańczyłeś pan niedawno z moją siostrzenicą, pokaż no nam jeszcze co umiesz i tańcz z moją córką. Chodź tu, panno Henrietto Gorgon. Pan... Jak się nazywa?

— Nazywam się — rzekł Jańcio z emfazą — Perkins — i spojrzał na Łucję, która nie śmiała spojrzeć na niego.

— Panna Gorgon, pan Perkins — zarekomendował jenerał. — No, a teraz idźcie tańczyć!

— Pan Perkins żałuje mocno, moja pani — rzekł Jańcio, kłaniając się pannie Henriecie, — że nie może już tańczyć dziś wieczór. Muszę pójść doglądać kolacji, ale znajdziesz pani niewątpliwie jaką inną figurę, która mnie z przyjemnością zastąpi.

— Sto diabłów, panie! — krzyknął jenerał, potrząsając łaską.

— Uspokój się, Jerzy — rzekła myłady, tuląc się do niego. P. Fitch podkręcał wąsiki. Panna Henrietta Gorgon stanęła jak wryta, wytrzeszczając oczy i otwierając usta. Na matronach dokoła szeleściły jedwabie, a wszystkie twarze były niezmiernie groźne.

— Znajdziesz mnie pan, gdziekolwiek się podoba i o takiej porze, jaką pan wskażesz — rzekł Perkins wyzywająco, ukłonił się i odszedł. Ale odchodząc, słyszał, jak Łucja wzdychała w kąciku. Przepadł od razu: przepadł w oceanie miłości. Czuł, że byłby w stanie bić się z pięćdziesięciu jenerałami. Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwym.

Na koniec proszono do stołu, ponieważ atoli płaciło się pięć szylingów od osoby, jenerał wyprawił do domu syna i wszystkie cztery panny, oszczędzając tym sposobem gwineę i cztery szylingi. To powiększyło jeszcze gniew Perkinsa, który spodziewał się, że będzie mógł jeszcze pomówić z Łucją. Jako członek komitetu balowego, byłby z wielką przyjemnością spełniał wobec niej obowiązki gospodarza, na złość jenerałowi. Byłby jej podawał najdelikatniejsze ułdka kurczątek, najapetyczniejsze blanc-manger, i byłaby musiała bodaj pokosztować szampana. Pod samym nosem cioci i wujaszka byłoby to czynem nieocenionym.

Prezent gastronomiczny p. Scully'ego nie był na swoim miejscu, a lady Gorgon wraz z całą swoją partią nie szczędziła przycinków parafiańskiemu pomysłowi podawania dziczyzny i zółtwej zupy przy wieczery. Pomimo to, wszyscy mieszkańcy Oldborough jedli z wielkim smakiem obie te ciężkie choć smaczne potrawy, a burmistrzowa zniecierliwiała jenerałową od tego wieczoru, bo siedząc koło niej, gdy z szyderczą miną odmówiła przyjęcia zupy i sarniny, małżonka pierwszego

dygnitarza w Oldborough uważała za rzecz stosowną pójść za jej niemiłym przykładem. Z westchnieniem tedy skinęła na lokaja, że nie chce zupy, ale nie mogła się wstrzymać, żeby nie zrobić uwagi:

— Jednakowoż, o ile mi wiadomo, Lord-Mayor Londynu jada zawsze zółtą zupę na kolację

— No, a gdyby i nie jadł, to cóż z tego? — odezwał się burmistrz. — Dobrze rzeczy można jeść o każdej porze. — Co rzekłszy, pograżył łyżkę w ulubionej potrawie. Burmistrzowa, jak powiedzieliśmy, nie śmiała uczynić tak samo, ale zniecierpliwiona panią Gorgon i pamiętała jej to przy następnych wyborach.

W podobny sposób, duma i nieprzystępną koterii Gorgonów budziły niechęć wszystkich obecnych, zwłaszcza gdy ci najadłszy się, poculi w piersiach to męstwo, które synowie Wielkiej Brytanii czerpią zawsze ze spożycia dobrych wiktualii. Srebra z herbami Gorgonów zaczęły razić wszystkie oczy. Szampana jenerała także zrobił swoje, bo nie było go wcale widać. Pojawił się jednak nareszcie, a oczekiwano go z upragnieniem. Panie nie chciały pić nic innego, a mężczyźni także gardzili portem, maderą i szerryem, zwracając tęskne spojrzenia ku drzwiom, przez które po długim oczekiwaniu oberzysta pan Rincer i pan Hock, piwnicy jenerała, wnieśli upragnione kosze. Korki poczęły strzelać, boski płyn począł pnieć się w rozmaitych kieliszkach i szklankach, podawanych na jego przyjęcie. Pan Hock nalewał jenerałowi i jego sąsiadom, którzy pili z wielkim zadowoleniem. Także i w najbliższym sąsiedztwie p. Scully znajdowano, iż wino jest wcale dobre. Ale p. Perkins, który siedział na szarym końcu, uważał, iż w jego pobliżu ktokolwiek skosztował jeneralskiego szampana, krzywił się, splotał i szeptał do sąsiada. Wziął swój kieliszek do ust i znalazł w nim szkaradną mieszaninę cukru, wiotryolu, sodowej wody i kwasu agrestowego. W tej chwili stukanie nożami i widelcami o talerze, w okolicy komitetu, dało znak, że zanosi się na toast.

— Panie Rincer — rzekł głośno Perkins — czy nie masz p. n. jakiego lepszego szampana w swojej piwnicy?

— Cicho, siadać! — poczęli krzyczeć torysi. — Milczcie! — zakomenderował jenerał. Panie były przerażone.

— Przepraszam jenerała — prawil dalej nieustraszony Perkins — ale gdzie też pan mogłeś dostać tego szampana? Mój przyjaciel, jak wiem, chce wnieść zdrowie dam, a taki toast godzi się wypić dobrym winem. (Okrzyki: Słuchajcie, słuchajcie!) Pić zdrowie mylady kieliszkiem takiej lury byłoby zbrodnią. Oświadczam, iż wolę piwo.

Żadne pióro nie zdoła opisać wrzawy, jaką to wywołało. Oburzenie Gorgonitów nie znało granic, a Scullytowie ze swojej strony popierali Perkinsa burzą okrzyków. Mylady wstała, oświadczając, że takie prostactwo jest nie do zniesienia. Wraz z nią powstały także i wyszły: pani burmistrzowa i inne damy należące do partii ministerialnej.

Jenerał, dwóch właścicieli dóbr, proboszcz, aptekarz gorgonowskiej rodziny i jej adwokat, wraz ze swoimi połowicami, opuścili także plac boju. Zostało zaledwie paru torysów w pokoju, i ci w haniebny sposób przeszli do nieprzyjaciela, pijąc z nim o lepsze.

— Panowie i panie — ozwał się Heeltap, który już miał potężną czkawkę. — Wznoszę toast. Hk! Szampan... hk! Szampana dla naszych prawdziwych... hk! przyja- ciół! Nie, chciałem... hk! powiedzieć: Prawdziwego szampana dla naszych szam... hk! dla naszych przyja- ciół, a prawdziwie... hk! dla naszych nieprzyjaciół...

— Hip, hip, hurra! — zawołało kilkadziesiąt głosów, rozentuzjuszowanych tą kataraktą wymowy. Triumf Scullytów był kompletny i trwał niemal do białego dnia. Wykształcony czytelnik znajdzie zapewne, że nie jedno w zachowaniu się p. Scully i jego przyjaciół było rażące. Należy wszakże pamiętać, in primis, że Oldborough był bardzo małym miasteczkiem, zamieszkałym przeważnie przez kupców niebardzo okrzęsanych, że sam p. Scully od trzech miesięcy zaledwie ocierał się o arystokrację, że Perkins był bardzo rozgniewany, a na koniec, że pyszałkostwo jenerała i jego rodziny było jeszcze o wiele niezniośliwsze i w gruncie bardziej prostackie od parafiańskiego prostactwa przeciwnej partii.

Bezpośrednio po tej uczcie wyborczej, pan Scully i jego młody zwolennik Jan Perkins, wrócili do Londynu; pierwszy z nich zajął pierwsze piętro w domu Perkinsa, a drugi swoje poddał. Pan Scully mieszkał tam w celu nadzorowania adwokackiej swojej kancelarii, której agentami londyńskimi byli pp. Higgs, Biggs & Blatherwick, zajmujący rez-de-chaussée w kamienicy Jančia Perkinsa, podczas gdy najmłodszy wspólnik, Mr. Blatherwick, miał prywatne mieszkanie swoje na drugim piętrze. Pan Scully nie tał się bynajmniej z tym, gdzie mieszkał, ani z tym, czym się trudnił — owszem, zwykł był powtarzać: „Jestem rzecznikiem prywatnym (attorney) i dumny jestem z tego zajęcia. Dziad mój był robotnikiem, chwała Bogu! Dorobiłem się fortuny uczciwą moją pracą i nie wstydę się tego wcale!”

Gdyśmy już tedy wyjaśnili czytelnikowi szczegółowo, jak wyglądali i czym byli bohaterowie niniejszej opowieści, i jak się zachowywali na prowincji, spróbujmy zdać sprawę z tego, co robili w Londynie.

Jużci, p. John Perkins wyniósł z balu w Oldborough jak najczulsze wspomnienia o pannie Łucji, z którą tak zawzięcie tańczył kontredansa. Nie omieszczał dowiedzieć się bliższych szczegółów o miejscu jej pobytu w stolicy, postarał się o zrobienie znajomości z jej demokratyczną ciotką, panną Biggs, i zaprezentował się



tej damie w sposób tak ujmujący, iż prosiła go wkrótce, aby wolne swoje wieczory poświęcał picu herbaty w jej mieszkaniu przy Caroline Place. Panna Biggs w późnej jesieni rozkwitu swojego nie była tak naiwna, by nie wiedziała, że pan Jan Perkins nie bywa u niej jedynie ze względu na dobrze zaparzoną herbatę i towarzyszącą jej sucharkę. Wiedziała ona, owszem, bardzo dobrze, iż młodzieniec ten pożąda przede wszystkim widoku panny Łucji Gorgon, jej siostrzenicy, i kilku słów rozmowy z tąż pokrewną jej, a wielce miłą, wesołą, przyzwoitą i przystojną panienką. Panna Biggs należała atoli do tego nieznanego w komediach — i w romansach tudzież — rodzaju starych panien, którym to „nic nie wadzi”, iż się młodzi ludzie kochają. Owszem, znajdowała, iż jest to rzeczą wcale naturalną i zgodną z przykazaniami boskimi, zwłaszcza gdy panna Łucja, jak już wiemy, miała dość znaczny posag, a „Jańcio” miał widoki na posadę rządową i był przy tym chłopakiem nieszpętnym, niegłupim, a w towarzystwie wcale sprytnym i niepomniernie wesołym. Panna Biggs (wbrew temu wszystkiemu, co wszyscy autorowie spisali o niezamężnych niewiastach, nieco dojrzalszych wiekiem) — uznała, iż nie byłoby nic lepszego na świecie, jak gdyby Łucusia wyszła za mąż za Jańcia. Dziwny zbieg okoliczności sprawił, iż Łucusia i Jańcio byli tego samiułenkiego zdania, bez względu na wielkie kwestie polityczne, dzielące ich rodziny i parantelę na dwa nieprzyjazne obozy.

Po tym nieco obszernym wyjaśnieniu, szanowny czytelnik zrozumie sens rozmowy, przytoczonej na wstępie niniejszego, ze wszech miar wiarygodnego opowiadania.

Lady Gorgon wraz z czerwonym mundurem, haftowanym kołnierzem i zawartym wewnątrz tego wszystkiego jenerałem i baronetem, jako też z resztą podrażającej w jej cieniu rodziny, także zjechała była do Londynu. Ani jej atoli, ani nikomu w jej domu nie przyszło na myśl zajmować się panną Łucją, która właśnie na czas sezonu miejskiego obrała sobie mieszkanie u ciotki swojej po kądzieli, „Miss Biggs” — niegdyś ochmistrynii i właścicielki pensjonatu! Samo to nazwisko wraz z należącymi do niego tytułami wywoływało taki uśmiech politowania w arystokratycznych sferach gorgońskich, że z litością zapominano na czas jakiś w domu baroneta o istnieniu Łucusi, a co się tyczy tak plebejuszowskiej dzielnicy miasta, jak Mecklenburgh Square, gdzie mieszkała panna Biggs, to przecież żaden człowiek dobrze wychowany nie może wiedzieć, w której części świata miejscowość podobna się znajduje. Stąd poszło, iż mylady nie wiedziała nic a nic o postępie Jančia, czyli figury z Oldborough, w sercu Łucusi, a Łucusia ze swojej strony nie czuła się wcale obowiązana zawiadomić jasnie wielmożną wujenkę, iż serduszek jej przeszedł na własność owego nieprzyjemnego młodzieńca, który nie chęiał pić zdrowia dam w Oldborough szampanem jeneralskim, przeznaczonym dla „szarego końca”.

Dzięki temu pobażaniu ciotki Biggsówny a obojętności pani jenerałowej, młoda para, której losy tak mocno nas zajmują, spoufalila się do tego stopnia, iż raz w grudniu, w niedzielę, gdy słońce szczególnie pięknie świeciło, a ciotka Biggsówna kazała się odprowadzić do swego specjalnie ulubionego kościoła, lecz nie chciała trudzić Pana Boga modłami młodszego i mniej do pobożnych rozpamiętywań skłonnego pokolenia, a owszem wysłała to pokolenie na spacer do ulubionego w tej porze roku rendez-vous wszystkich dusz czułych, tj. do parku „Regenta” (Regents Park) — raz tedy, w grudniu, w niedzielę, w południe, Jańcio i Łucusia na przemian karmili niedźwiedzie, w ogrodzie zoologicznym, pasztecikami, a siebie miłością; słońce jabłkami, a Pana Boga miłym przeświadczeniem, że przecież nie darmo ten nędzny świat stworzył, skoro dwie istoty mogą się w nim czuć tak szczęśliwe i tak nie potrzebujące nikogo i niczego, prócz siebie!

Ażeby większą dozę tej szczęśliwości, i należących do jej inwentarza pasztecików, udzielić niedźwiedziom królowej, zamieszkującym znaną norę w parku „Regenta”, panna Łucja, przy pomocy p. Jana Perkinsa, wstąpiła na podmurowanie, na którym wznoszą się żelazne sztachety oddzielające pomienione niedźwiedzie od innych mniej przez publiczność faworyzowanych obywateli Wyspy Królującej Morzom, Łądom, Akcyzie i tak dalej. P. Jan Perkins stał poniżej. Panna Łucja obdzieliła niedźwiedzie pasztecikami i miała zleźć z przymurka — ale bądź to wskutek wrodzonej bojaźliwości, bądź z innej przyczyny, nie mogła jakoś uskutecznić tego o własnej sile.

— Kochany Jańciu — rzekła — ja... ja doprawdy nie wiem, jak ja się dostanę na dół!

W istocie, zważywszy iż podmurowanie sztachetów w zoologicznym ogrodzie ma najmniej osiemnaście cali wysokości i że, jak wiadomo, łatwiej jest wyleźć wysoko, niż zleźć na dół (choćby tylko z posady woźnego), musimy przyznać, iż pozycja Łucusi, trzymającej się rączką sztachetów, była bardzo trudna i wymagała pewnej wprawy gimnastycznej, która nie bywa zazwyczaj udziałem pici słabej. Toteż Jańcio nie mógł uczynić nic innego, jak to, co zrobił. Oto: silnym swoim ramieniem objął on kształtną kibić Łucusi, dał jej rączkom spocząć na swoich barkach, przytulił ją całą troskliwie do swojej piersi i zawołał:

— No, skakaj!

Hop!

Niesłychane to salto mortale udało się tak przewybornie, że Łucusia, wsparta na ramieniu Jańcia, znalazła się naraz wśród grupy złożonej:

z mylady Gorgon,
z trzech panien Gorgon,
z pana Jerzego Augusta Fryderyka Grimsby Gorgon,
z lokaja,
z pudła,
i z guwernantki francuskiej,
która to grupa już od pięciu minut obserwowała karmienie niedźwiedzi i inne gimnastyczne, jako też romantyczne epizody, powyżej lekko naszkicowane.

To zmusza mię do zakończenia pierwszego rozdziału powieści mojej.

Rozdział II.

(W którym spisek zaczyna nurtować na ulicy Bedford - Row)

— Panna Łucja! — zawołała mylady.

— Kto by się był spodziewał! — zawtórowały unisono panny.

— Niech mnie diabli wezmą, jeżeli to nie Łucja! — krzyknął dysharmonijnie mały Gorgonik, który, jak widzimy, zawczasu wdawał się w ojca.

Łucja spuściła oczy i zarumieniła się, nie mówiąc ani słowa. P. John Perkins wyprostował się najpierw i zrobił krok naprzód, a potem dwa kroki w tył, a potem zaczął poprawiać krawatę, a potem nie wiedział, co zrobić dalej.

— Panno Łucjo Gorgon — rzekła mylady inkwizytorskim tonem — czy ciotka twoja, to jest, czy pani Briggs jest tutaj?

— Panna Biggs — poprawiła Łucja stanowczo.

— Biggs czy Briggs, mniejsza o to, moja panienko. Spodziewam się, iż nikt nie będzie wymagał od damy mojego stanu, ażeby wiedziała, jak się nazywają wszystkie mieszkanki placu Mecklenburgh Square? — (Mylady miała dom przy ulicy Baker Street, równie sztywny i nieprzyjemny, jak ona). — Więc nie ma jej tutaj? — ciągnęła dalej, tłumacząc trąfne milczenie Łucusi. — Nie ma jej? A czy wolno zapytać, odkąd to nastął zwyczaj, ażeby młode panny wychodziły z domu same i ażeby... ażeby brały udział w takich scenach, jak ta, którą właśnie widzieliśmy?

Na to pytanie Łucusia oczywiście nie znalazła odpowiedzi. Kuzynki jej przeszywały ją z boku spojrzeniami sześciorami oczu; Jerzy August Fryderyk spoglądał na nią ze zdziwieniem; mademoiselle odwracała od niej oczy niewymownie zgorzone; mylady pogrzebiała ją z frontu majestatem swojego wzroku i tylko pudel i lokaj mieli miny obojętne. Najbardziej zatwardziały zbrodniarz byłby stracił postawę wobec takiego trybunału, a na domiar nieszczęścia, mylady w całej okazałości swojego wzrostu stanęła była na środku ścieżki i podniosła była głos tak mocno, że wielu przechodniów spostrzegłszy i usłyszawszy całą scenę, zatrzymało się i oczekiwało także odpowiedzi panny Łucji.

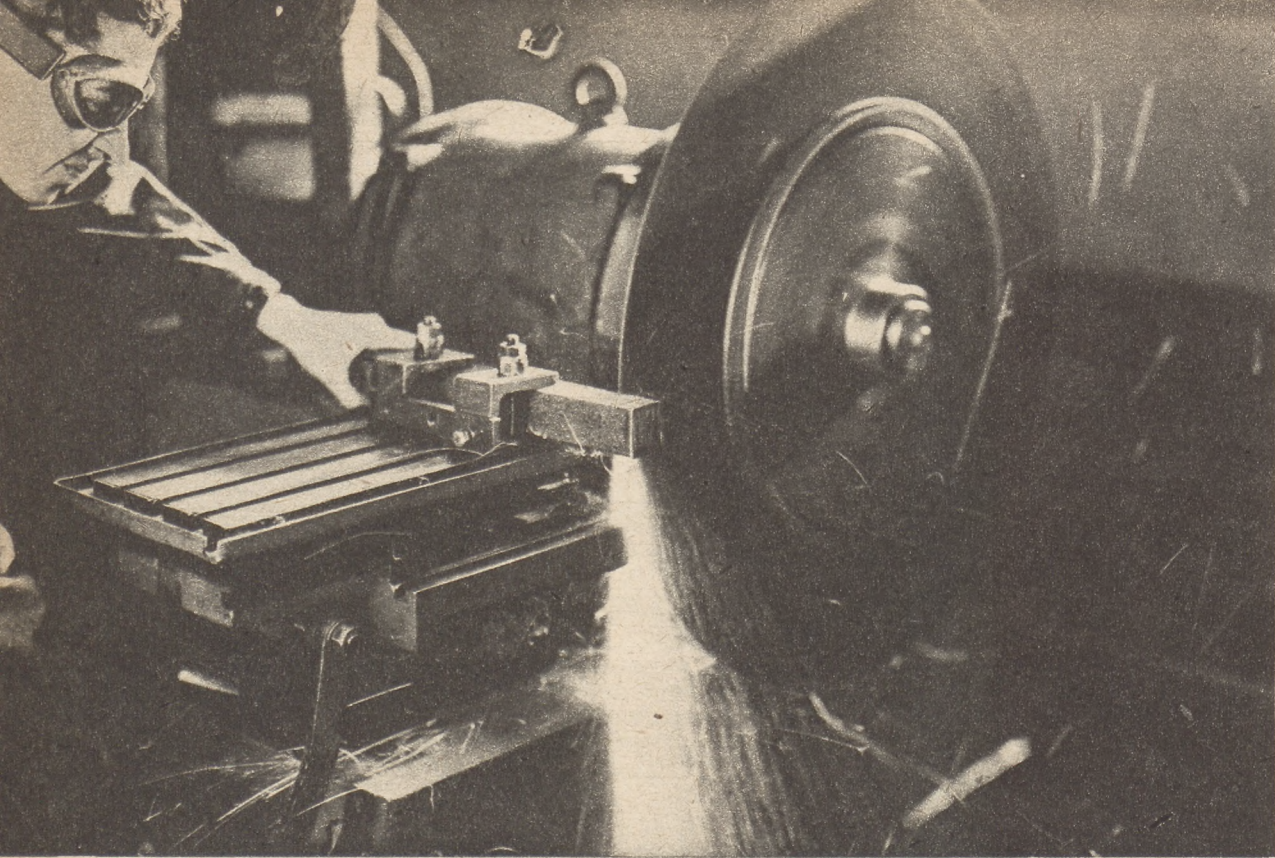
— Na miłość boską, ciociu — odezwała się wreszcie ta ostatnia — niechaj ciotcia nie gromadzi tłumy dokola nas! Opowiem później... jak się to stało... to jest, że jestem zaręczona z tym panem... z panem Perkins...

— Ostatnie te słowa powiedziane były tak cicho, że części wyrazu „erkins” nie podobna było dosłyszeć.

— Z panem Kim? Zaręczyny; bez poradenia się z opiekunami! — wołała mylady. — Muszę ja wglądać w tę sprawę! Jerningham, niech powóz zajężdża. Mademoiselle, pójdziesz pani piechotą do domu z panem Gorgon i weźmiesz go pani na ręce, gdzie będzie mokro. Wy, moje córki, ponieważ dzień jest wcale piękny, przejdziecie się także; Jerningham pójdzie za wami. Panno Łucjo Gorgon, proszę iść za mną!

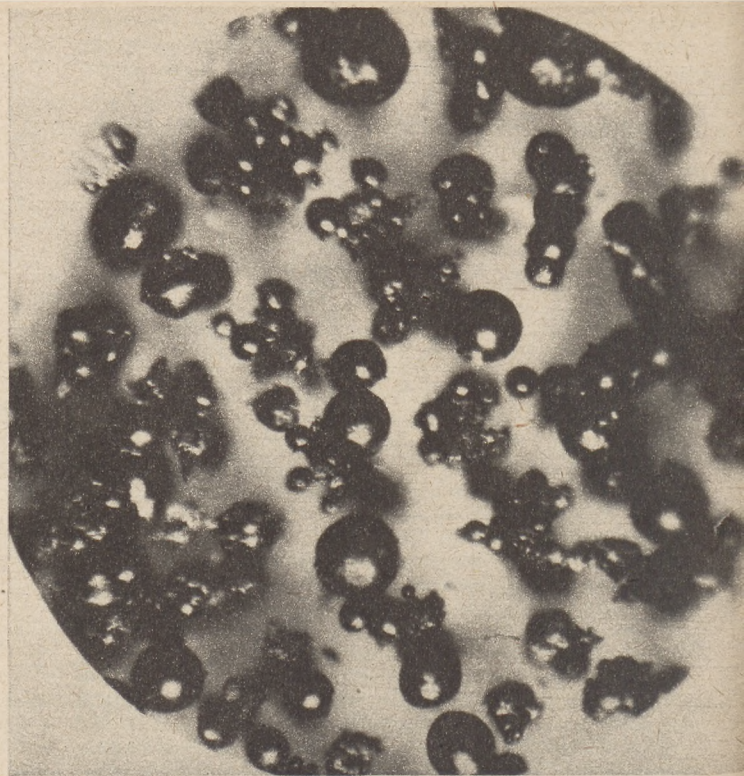
Wydawszy te dyspozycje i spojrzawszy z wyrazem bezgranicznej wzdąry na tłum ciekawych, a nie spojrzawszy wcale na Perkinsa, mylady ruszyła ku powozowi, podczas gdy zwarte szeregi reszty Gorgonów otoczyły Łucję i porwały ją z sobą wbrew jej woli. Naraz znalazła się w powozie wraz z ciotką.

Dalszy ciąg nastąpi



Wielka, nowoczesna piła cierna tnie metal z szybkością 450 km/godz. Przy takiej metodzie obróbki

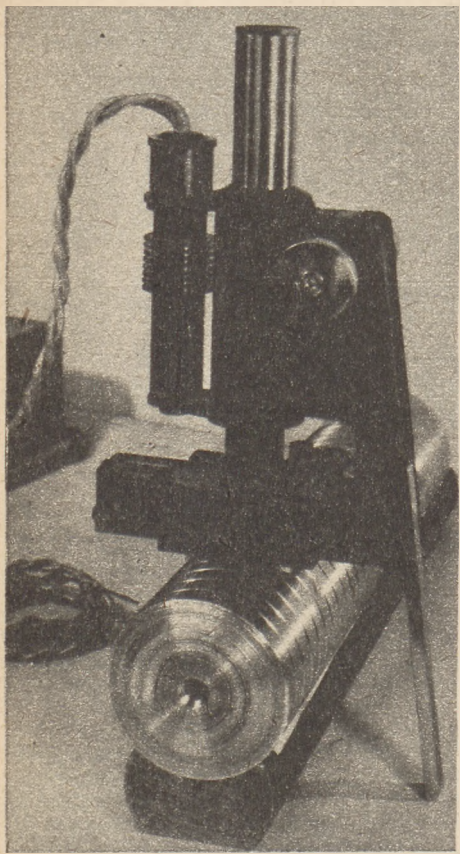
materiał zostaje na skutek tarcia doprowadzony do stanu ciekłego i daje się dość łatwo przeciąć.



Wióry, które powstają przy cięciu piłą cierną w wysokiej temperaturze, widzimy pod mikroskopem jako kuleczki.

ARTYLERIA ISKROWA

ADAM HOLLANEK



Przyrząd do mierzenia gładkości metalu, wynaleziony przez prof. Biernawskiego. Przyrząd pokazuje jakość obróbki...

INŻYNIEROWIE szwajcarscy chcieli się pochwalić swymi osiągnięciami — przesłali więc Szwedom zwój drutu tak cienkiego, że można go było dostrzec jedynie przez lupę. Na to otrzymali odpowiedź ze Szwecji w postaci tego samego drutu, przewierconego na całej długości.

Taka jest treść dowcipu, jaki ukazał się przed wojną w jednym z naszych czasopism technicznych. Sens dowcipu? Jego autorzy pokpiwali sobie po prostu z obróbki mechanicznej. Bo przecież wykonanie zarówno mikroskopijnego drucika jak i przewiercenie go na wskroś należało wówczas do sfery marzeń, lub właśnie... dowcipów. Ale co tu mówić o sprawach tak trudnych, jak drażnienie niewidzialnych gołym okiem otworów, kiedy po dziś dzień technika ma kłopoty z wierceniem zwyczajnych otworów w metalu.

Każdy wie, że narzędzia, którymi pragniemy urabiać jakiś materiał, muszą być twardsze i trwalsze od samego materiału. Wiertła, frezy i inne narzędzia, używane do nadawania kształtu częściom maszyn i niektórym przedmiotom powszechnego użytku, muszą być sporządzane z trwalszych materiałów, niż urabiane przedmioty. Rozumiecie teraz zmartwienia współczesnej techniki? Z konieczności zmuszeni jesteśmy używać przy produkcji gorszego surowca, bo inaczej nie dałby się urabiać. Stąd płynnie stosunkowa kruchość i mała trwałość maszyn, narzędzi, silników itd.

Do niedawna wydawało się, iż obróbkę metali będziemy mogli tylko przyspieszać, zmniejszać w niej wysiłek ludzki, ale zerwać ze struganiem materiału ostrzami — nie zdołamy. Tymczasem pomogła ludziom... iskra elektryczna i twórcza praca uczonych: małżonków Łazarienkowych w Związku Radzieckim.

Zaczęli oni od badań styków (kontaktów) elektrycznych. Czyli od badań dwóch blaszek, które poprzez styk umożliwiają przepływ prądu, a rozdzielone — przepływ ten przerywają. Każdy, kto kiedyś obserwował kontakty, wie, że zamykaniu i włączaniu prądu towarzyszą wyładowania elektryczne. Czasem jest to łuk elektryczny, łączący oba styki. Czasem sноп iskieł: krótkie trzeszczące światło podobne do serii z karabinu maszynowego. Łazarienkowych szczególnie interesowały wyładowania iskrowe. Przy pomocy specjalnego przyrządu optycznego obserwowali zjawiska łączenia się i rozłączania styków.

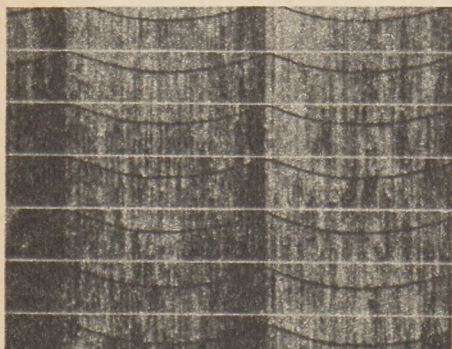
Powiększające szkła stworzyły uczonym obraz, przypominający obręb działających artylerii. Od katody ku anodzie, czyli od jednej blaszki ku drugiej walił strumień trzeszczących iskieł, ryjąc na przeciwnym brzegu leje, jak od uderzenia bomb. Metal wyrzucany wybuchem z owych lejów na anodzie przynosił się na katodę, formując tam coraz to wyższe wzgórce. W ten sposób

jedna blaszka, bombardując iskrami drugą, zabierała tej drugiej metal i układała na własnej powierzchni. Gdy „strzelanie“ to odbywało się w wodzie, odrywany metal, nie mogąc — wskutek większego oporu cieczy — przenieść się na drugą stronę, grzązł w wodzie.

Pomyślcie: bez pomocy narzędzi jeden kawałek metalu wyżera drugi za pośrednictwem iskier elektrycznych. Przy tym obie metalowe blaszki nie muszą się nawet stykać. Wystarczy zbliżyć je do siebie, włączyć prąd o odpowiednim napięciu, a artyleria iskrowa, wystrzelana z jednej blaszki, zbombarduje drugą, wierząc w niej otwór.

Na tej zasadzie zbudowali Łazarienkowie pierwszą w świecie obrabiarkę, w której narzędzie skrawające metal zastąpiono strumieniem iskier. Temperatura na bombardowanym iskrami punkcie metalu osiąga astronomiczne wielkości. Przypuszcza się, że jest dwukrotnie wyższa, niż temperatura powierzchni Słońca, wynosząca ok. 6000 stopni C.

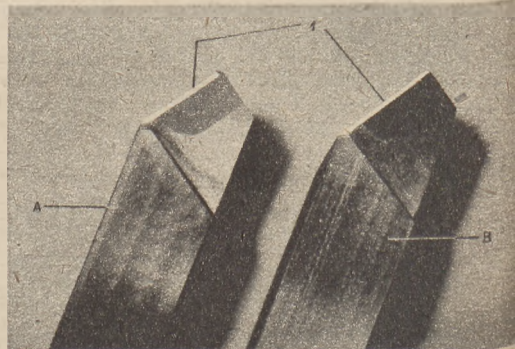
Do jakich przemian doprowadzi nowa metoda? Po pierwsze, do stopniowego zanikania wielkich, pochłaniających wiele energii obrabiarek mechanicznych. Po drugie, będziemy mogli budować maszyny i przyrządy oraz przedmioty codziennego użytku z najtwardszych i najtrwalszych metali. Każdy bowiem metal będzie można



... za pomocą cieni rzucanych przez cieniutkie nitki. Ciemne, łukowate linie są właśnie owymi cieniami.



Oto pracownicy Instytutu i robotnicy przy swoim wspólnym dziele — nowoczesnej ostrzarce anodowo - mechanicznej, skonstruowanej przedterminowo w ramach Czynu. Majowego. Drugi od lewej prof. Biernawski.



Noże, używane do skrawania metali. Ciemne miejsca przy górnych krawędziach — to ostrza z twardych spieków.

obrabiać przy pomocy artylerii iskrowej.

Warto dobrze uświadomić sobie różnicę, jaka cechuje starą i nową metodę obróbki metali. Stara, dotychczasowa, polega na krajaniu stali stalą. Na wyrzynaniu specjalnymi ostrzami odpowiednich kształtów wytwarzanych przedmiotów. Elektryczność służy tu tylko pośrednio: do poruszania narzędzi i materiału. W nowej metodzie siły elektryczne, których potęgę znamy choćby z życia codziennego, działają niejako „osobiście“. Same kształtują metal, bez pomocy noży czy wiertła. I to z dużą szybkością.

W ZSRR wprowadza się już iskrowe obrabiarki do zakładów przemysłowych. Stopniowo wypierać będą one słoniowate olbrzymy z tępymi stosunkowo kłami narzędzi skrawających. A u nas?

Istnieje w Krakowie Instytut Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem, kierowany przez znanego uczonego, prof. Witolda Biernawskiego. Opierając się na najnowocześniejszych zdobyczach radzieckich w tej dziedzinie, pracownicy Instytutu wykonali polski prototyp wiertarki iskrowej. Na tej maszynie przeprowadza się obecnie doświadczenia, aby umożliwić jak najszybsze wprowadzenie jej do przemysłu.

Ale to nie wszystko: ten sam zespół naukowców zobowiązał się do zrealizowania jeszcze innego niezwykle ciekawego przedsięwzięcia. Zobowiązanie podjęte zostało dla uczczenia 60-lecia urodzin Prezydenta Bolesława Bieruta i Święta 1-Majowego. I oto na dwa tygodnie przed terminem odbyła się w laboratorium Instytutu uroczystość oddania do użytku prototypu niezwykłej ostrzarki.

Nowa ostrzarka — wykonana przez zespół pod kierownictwem prof. Biernawskiego, dyrektora Instytutu (w zespole tym byli między innymi inż. Albiński, oraz inż. Pawłowicz i Jaroszyński) — posiada zamiast powszechnie używanej tarczy karborundowej tarczę ze zwyczajnej stali. W normalnych warunkach tarcza ta nie byłaby w stanie naostrzyć nawet najprostszyc narzędzi skrawających metal — a cóż mówić o szczególnie twardych i opornych spiekach. A jednak wszyscy zebrani na uroczystości ujrzeli, że tarcza ostrzy nawet najtrwalszą stal i spiekane węgliki metali. W jaki sposób? I tu z pomocą człowiekowi przyszedł prąd elektryczny. Jeden biegun prądu połączony jest z tarczą szlifierską, drugi z narzędziem, poddawany naostrzeniu. Na skutek przepływu prądu wytwarzają się w ostrzonym narzędziu wysokie temperatury oraz zachodzą pewne procesy elektrochemiczne. Pod wpływem ciepła i tych procesów metal ostrzonej krawędzi topnieje, mięknie — naturalnie na bardzo cienkiej powierzchni. Zmiękczonego materiału z łatwością usuwa teraz nasza zwyczajna tarcza stalowa.

W miejscu stykania się tarczy z obrabianym narzędziem doprowadzony jest płyn elektrolityczny. Nie dopuszcza on do powstawania łuku elektrycznego, co pozwala na zwiększenie napięcia prądu; to z kolei wpływa na lepszy przebieg całej operacji.

Na owej uroczystości w Krakowskim Instytucie obecni byli również robotnicy. Trzeba bowiem wiedzieć, że pracownicy Instytutu doceniają w pełni znaczenie współpracy z robotnikami. Świeżo oddana do doświadczeń ostrzarka jest jednym z owoców tej współpracy. Według opracowań naukowców wykonali ją właśnie robotnicy.

Nowa obrabiarka zaoszczędzi państwu wiele pieniędzy, wydatkowanych dotychczas na drogi karborund. Oprócz ostrzarki pracownicy Instytutu wykonali jeszcze wiele innych nowoczesnych maszyn i przyrządów pomiarowych, które, podobnie jak nowa ostrzarka, wejdą do produkcji masowej, przyspieszą rozbudowę i unowocześnienie naszego socjalistycznego przemysłu.

„GROMADA”

ZAMIAREM autorów „Gromady” było dać wierny obraz życia wsi polskiej w okresie krystalizacji nowych form gospodarki spółdzielczej. Pragnąc to przedstawić, młodzi reżyserowie nie ustrzegli się uproszczenia, które w ostatnich dyskusjach literackich określono jako „schematyzm”.

I tak główny intrygant — młynarz, skupił w swojej osobie wszelkie ludzkie wady. Jest on przede wszystkim odrażający fizycznie: gruby, nalany, o świńskich oczkach, ulubioną jego postawą są nogi rozkraczone, ręce w kieszeniach i złośliwe spojrzenie. Odznacza się on lubieżnością i usiłuje urwieść bohaterkę Maryskę, napastując ją w kącie magazynu z mąką. Oddaje się głównie pijactwu, w towarzystwie swego szwagra, nieuczciwego sekretarza sądu, oraz podobnych sobie kułaków.

Jest nieludzki: doprowadza do samobójstwa ubogiego Bartosika, który podpisał mu zobowiązanie, że oddaje za dług swoje żyto na pniu. Jest wreszcie zuchwały i w gruncie głupi, bo w ataku wściekłości, podczas nocy, zaoruje drogę wiodącą do młyna spółdzielczego i za tę samowolę dostaje się w ręce milicji. W ten sposób rozpełza się jego intryga — usiłował on bowiem przeszkodzić w budowie młyna gromadzkiego i uniemożliwić przemiał zboża przeznaczonego dla spółdzielni w mieście.

Jego przeciwieństwem pod każdym względem jest Paweł, budowniczy nowego młyna, piękny chłopak o falujących blond włosach i orlim profilu. Paweł kocha uczciwie Maryskę i poślubi ją w końcu filmu. Nie pije on ani nie pali, nie unosi się też nigdy, nawet gdy ojciec jego wybranej obrzuca go niezadowolonymi obelgami.

Temu podziałowi na dobre i złe moglibyśmy zarzucić łatwiznę i pouczyć autorów o starej prawdzie, że charakter ludzkie bywają złożone — szczególnie o tym pamiętać powinien artysta, który pragnie nam pokazać życie w nowym oświetleniu społecznym. Wiktor Hugo bohaterami swoich utworów robił rozmyślnie postacie potwornie okaleczone, odpychające, straszne — jak garbus Quasimodo z „Dzwonnika z Notre-Dame“, czy Gwynplaine o twarzy zniekształconej rozpalonym żelazem w

„Człowieku śmiechu“. Ci ludzie-maszkarzy odznaczają się przecie mimo swej brzydoty złotym sercem; wprowadzając kontrast między szpetotą fizyczną a szlachetnością moralną, Hugo właśnie chciał podkreślić swoją rewolucyjną



Ubogi chłop Bartosik, doprowadzony do rozpaczki wyzyskiem młynarza-kułaka, który kupił od niego zboże na pniu z lichwiarskim procentem — usiłuje skończyć z życiem, ale gromada broni biedaka takiego jak oni i zginąć mu nie da.

sympatię dla ludu, który był dla niego takim „nieforemnym olbrzymem o gorącym sercu“, jak sam pisał.

Schematyzm „Gromady” nie razi jednak zbyt; przypomina on owe powieści „z przygodami“, gdzie bohater jest najładniejszy, ma białego konia, najlepiej jeździ i najcelniej strzela, a to dlatego że broni sprawiedliwości; jego doskonałość pod każdym względem wynika z moralnej aprobaty i z entuzjazmu dla idei, którą on reprezentuje. Podobny zapal przekonujący przez swoją szczerość, ożywia autorów „Gromady“ i on decyduje o sugestywnym klimacie — a więc prawdziwie utworu — nawet jeśli tu i ówdzie zarzucimy reżyserom zbytnią gorliwość w retuszu.

Ta właśnie świeżość klimatu jest najsilniejszym atutem „Gromady“. Są i inne zalety: kreacja Mariana Lupy, chło-

pa - amatora, który gra wahającego się „średniaka“ Wojciecha. W sporze między gromadą a młynarzem, Wojciech zajmuje stanowisko niepewne i dopiero szkodnictwo kułaka i sukcesy gospodarki spółdzielczej, przekonują go do no-

wej organizacji wsi. Ten podkrakowski chłop, o twarzy zawziętej, walczący z sobą samym, przemawiający tonem twardym, niechętnie wypowiadający słowo czule, a przecież wrzliwy — to sylwetka pełna sugestywnej prawdy, godna doskonałego zawodowego tragika. Następny sukces techniczny „Gromady“, to odtworzenie atmosfery wioski podgórskiej, z jej terenem pofalowanym, jej mszą niedzielą, bryczkami zaprzęzonymi w konika, chatami o kwadratowych, niskich oknach: jest tu autentyczny klimat lata wiejskiego, w tych pełnych zapалу i patosu czasach wielkiej przemiany wsi polskiej.

Czy „Gromada” jest filmem, ukazującym rzeczywistość tę przemianę? Zapewne nie — czy też niezupełnie; właśnie z naiwności, ze schematyzmu filmu wynika i zwężenie jego wagi. Prawdziwy kułak — ten w życiu — jest bardziej skomplikowany, trudniejszy do rozpoznania, używający środków walki podstępnych, przyswajający sobie nowe hasła, by je później zwalczać. Trudno wyobrazić sobie kułaka, tak ostentacyjnie podkreślającego że jest „wrzodem społecznym“; słyszeliśmy i czytali o kułakach nie zaorujących drogi — i chytrze awansujących (co budzi wściekłość całej gminy) w hierarchii Związku Samopomocy Chłopskiej, by go następnie rozsądzać... Uproszczenie literackie jest również uproszczeniem politycznym, i ten błąd zmniejsza doniosłość nowego filmu i zacieśnia zagadnienie.

Niemniej problem walki klasowej na wsi, mimo że zwężony, został, po raz pierwszy w naszym filmie, postawiony i pokazany; „Gromada” uświadamia nam jakie postacie biorą udział w owym starciu, odsłania jego patos i dramatyzm. Na tym, choćby wąskim odcinku, wybranym przez młodych reżyserów, program został wykonany z sukcesem, co pozwala określić film o nowym chłopie polskim, jako dobry początek.

KAZIMIERZ STĘPNIAK



Droga złośliwie zaorana przez młynarza zmieniała się w bagno, zamykające dostęp do młyna. Czy zboże zostanie zmielone na termin? Gromada z pomocą brygad robotniczych z miasta, zbuduje w ciągu jednej doby nową drogę.

nasz fotokorespondenci donoszą

LEKARZE NASZYCH PÓL

Jedne ziarna idą do woreczka, drugie do buteleczki i odtąd nim się ponownie spotkają, przejdą niejedno przeobrażenie.

Ziarna z woreczka pincetą i skalpelem oddziela od nasion kłóli, kaniarki i innych chwastów, Barbara Wiernicka. Ostateczny procent czystości ziarna ustala Lucyna Cybulewicz, starszy asystent stacji. Jest to praca wymagająca aptekarskiej dokładności. Niestaranne zważenie może spowodować mylną ocenę nasienia przeznaczanego do siewu.

Ziarnie zastępują teraz talerzyki z wilgotną bibułą, okno inspektowe — szklana przykrywka, słonce i atmosfera — specjalne parniki. Rozpoczyna się okres kielkowania, po którym następuje już ostatnia faza pracy: oznaczenie energii kielkowania i siły nasienia.

Ziarna z buteleczki spotkał inny los. Zostały zmiełone i poszły do elektrycznego wilgociomierza. Przez cztery minuty strzałki tego przyrządu nerwowo drgały. Nagle... stop! Zegary zniechęciły i ob. Teyman wypełnia ostatnie rubryki karty roboczej. Próbkę nasion przeszły ocenę. Ziarna z woreczka i buteleczki pozwoili zorientować się w pełnej wartości nasienia.



Krystyna Wiernicka, Gizela Czarnecka i Iwona Konopacka przy kontroli kielkowania. (Foto: J. Grzegorzewicz)

Komu to wszystko jest potrzebne? Nie chcecie, aby brakło chleba, prawda? Lubicie chleb tylko smaczny, a nie przedniejszej maki. A więc... idzie o to, że w zależności od wyników badań w Opolskiej Stacji Ocenę Nasion zależy, czy zbadać ziarno jako pełnowartościowe pójdzie na siew, czy też należy użyć je tylko do przemiatu. Po wielu latach

takiej selekcji plon z naszej ziemi będzie coraz większy, ziarno coraz lepsze, a w końcu jeść będziemy tylko smaczny i pożywny, obfity w witaminy chleb i tylko smaczne, pożywe bułeczki. Na tym polega właśnie zadanie Opolskiej Stacji Ocenę Nasion, młodej placówki — bo powstała dopiero na początku bieżącego roku!

A. Libera, Opole

PRZED WĘDROWNYMI WZASAMI



Górzysty teren okolic Wałbrzycha również godny jest oka turysty.

Rozpoczął się sezon wczasów wędrownych i na pewno wielu zwolenników tego przyjemnego i pożytecznego wypoczynku, wzorem lat ubiegłych, wybierze się na Dolny Śląsk, w Karkonosze, poszukując nie tylko zabytków piastowskich, ale i pięknych okolic.

Wielu wczasowiczów, nie wiadomo po raz który, pójdzie niewątpliwie utartym szlakiem do Bierutowa, Karpacza, Szklarskiej Poręby, na Śnieżkę lub inne szczyty, położone w pobliżu Jeleniej Góry. Turysty niestety zapominają, że wielokrotnie zwiedzanie tych samych miejscowości zabytkowych i wielokrotnie patrzenie na ten sam krajobraz nie pogłębia znajomości całego kraju, a przecież wczas wędrowny właśnie mają spełnić zadanie.

Powinniśmy przełamać niechęć do szlaków mało znanych, niepopularnych, a wtedy istotnie uprawiać będziemy turystykę, dobrze wykorzystamy wczasy wędrowne. Trudno jednak będzie się chwalić miłymi przygodami w schroniskach, wspinaniem się na znane powszechnie szczyty, znajomością z modnych uzdrowisk. Ten brak sówicie wynagrodza silne, nowe wrażenia z tych terenów Polski, które oglądać będziemy po raz pierwszy.

Warto o tym pomyśleć przed wyborem szlaku na tegoroczne wczasy wędrowne.

Leon Kucharzewski Wałbrzych

KATOWICZANIN O ŁÓDZKIM ZOO



Będąc w Łodzi odwiedziłem ZOO, położone w pięknym parku zwanym dawniej „Źródlika”. Jest tu starodrzew, są dobrze utrzymane trawniki, kwiaty, dużo przestrzeni. Dzikie zwierzęta i ptactwo czują się w tym otoczeniu dobrze, widać to po samym ich wyglądzie.

I Katowicę posiadają ZOO, ale znajduje się ono w ruinie. Miejsce nie jest najlepsze i chyba nie najzdrowsze. Zrozumiałem to dopiero w Łodzi i dlatego apeluję: niechaj nasze katowickie ZOO weźmie przykład z ZOO łódzkiego. Czas najwyższy.

I. Rzepkiewicz, Katowice

PIERWSZOMAJOWY CZYN LEKARZY

Wybór padł na nadbużańską osadę Wola Unruska, położoną przy linii kolejowej Chełm Lubelski — Włodawa. Pojechała tam ekipa lekarzy kolejowych i personel pomocniczy z DOKP w Lublinie, aby w ramach Czynu Majowego udzielić pomocy lekarskiej tamtejszym mieszkańcom.

Do badania zgłosiło się 1228 chorych, w tym 523 dzieci. Praca trwała cały dzień, na miej-



scu dokonywano różnych zabiegów, wydawano skierowania do szpitala, na prześwietlenie i drobne operacje.

Wśród dzieci zgłosił się uczeń II klasy szkoły podstawowej, Mieczysław Kuwałek, (na zdjęciu), który przechodził krzywicę. Zastępowane przez dr Słaskiego preparaty witaminowe szybko doprowadzą do równowagi młody organizm.

Byłoby dobrze, aby takie wyjazdy odbywały się częściej.

J. Praszcak, Lublin

MIASTECZKO LISÓW

Prawdziwym miasteczkiem lisów jest ferma hodowlana zwierząt futerkowych w Lubiechowie na Dolnym Śląsku. Rozpoczęto tam hodowlę mając zaledwie 30 sztuk lisów, dzisiaj jednak w obszernych pomieszczeniach fermi uwija się już ponad 500 pięknych lisich okazów, tzw. sztuk zarodowych. PGR w Lubiechowie — do którego należy ferma — dostarcza naszym rynek zbytu setki futerek i — co jeszcze ważniejsze — zaopatruje w sztuki zarodowe inne fermi hodowlane.

Ulubieńcami załogi Lubiechowa są lisy platynowe, hodowane wraz z bardziej już popularnymi lisami srebrnymi. Lis platynowy — to, bez przesady, istny dziw natury. Nie spotykany w lasach ani puszczech, przyszedł na świat przez przypadek w jakiejś fermie norweskiej ze „zwyczajnych”, srebrnych rodziców. Skrzyżowany ze srebrnym lisem wydał potomstwo platynowe i tak zapoczątkował się rozwój nowego gatunku, tak bardzo dzisiaj poszukiwanego na rynkach futrzarskich. Ale najciekawsze jest może to, że i dzisiaj to lisy z platynowym: nie powiodły się próby wyłącznego krzyżowania platynowych okazów, nie wydają one w ogóle potomstwa. Biorąc pod uwagę takie trudności, wyhodowanie przez PGR Lubiechów kilkudziesięciu lisów platynowych jest bardzo poważnym sukcesem.

W Planie 6-letnim Lubiechów wyhodować ma 1000 sztuk lisów zarodowych. Przewiduje się, że jeszcze w bieżącym roku zadanie to zostanie wykonane, a nawet przekroczone. Dla tego lisy miasteczko ulega ciąglej rozbudowie.

L. Rzewski Wałbrzych



SZACHY

DWA ODKRYCIA NASZYCH CZYTELNIKÓW

WYNIKI IV KONKURSU ROZWIĄZANIOWEGO

ZADANIE A 31

1. b4 (1.Kb3? c4+!) c:b4 2. Kb3 a1S+ 3. K:b4 Sc2+ 4. Kc3 Sa1! (4...Sa3? 5. Kb3) 5. Wb2+ Kc1 6. Wa2 Kb1 7. W:a6 Sc2 8. We6! Sa1 (Kc1) 9. We2 i wygrywa. 3...a5+ Kc3 a4 5. Wb2+ Kc1 6. Wa2 Kb1 7. W:a4 Sc2 8. We4 i wygrywa.

ZADANIE A 33

1. Wf3 Kd1 2. Gg4 e1H(S) 3. Wd3x; 2...Kd2 3. Wf2; 1...Kd2 2. Gf1 e1H 3. Wd3x; 2...e:f3. W:f1 Ke3 4. Kc2 f3 5. We1+ (ale nie 5. Kd1, bo 5...f2 6. Wh1 Kf3 i remis) Kf2 (f4) 6. Kd2 i wygrywa; 2...e1S 3. W:f4.

Piękne to zadanie posiada — jak się okazuje — rozwiązanie uboczne, którego nie dostrzegł autor, znakomity problemista Keti, a które zostało wykryte przez niektórych Czytelników. Nikt jednak z Czytelników nie podał obu rozwiązań jednocześnie. Białe mogą jeszcze wygrać w następujący sposób: 1. Gg4 Kd2 2. G:e2 K:e2 3. Kc1 f3 4. Wa2+! Ke1 (4...Ke3 5. Kd1 f2 6. Wa3+) 5. Wa3 Ke2 6. We8+ Kd3 7. Kd1 f2 8. Wf8 Ke3 9. Wf7, lub 5...f2 6. We8+ Kf1 7. Kd2 Kg2 8. Wg8+ Kf3 9. Wf8+ Kg2 10. Ke2.

ZADANIE A 35

1. Gc5 (groźba 2.Gd6+) Sd3 2. Hc3; 1...Ge2 2. He1. Zadanie powyższe zacierpnieliśmy z pisma „Československy Šach”, które — podobnie jak i z kolei my — istotnie przepuściły pomyłkę: w pozycji przedstawionej na diagramie, brak mianowicie czarnego piona na polu „e3”. Spowodowało to, że po 1...Ge2 2. He1 Hc3 białe nie mogą dać mata w trzecim ruchu.

ZADANIE A 37

1. Wb8 Hd5+ 2. Kb2! H:f7 3. Wb7+ Ka8 4. Sc6! Jednakże jeśli czarne zagrają — jak to proponowało kilku naszych Czytelników — 2...H:a5, to po 3. f8H H:d2+ 4. Ka1 Ha5+ 5. Kb1 He1+ 6. Kc2 Hc3+! uzyskują remis przez wieczny szach. Jest rzeczą godną podkreślenia, że zarówno studium Reti'ego (zad. A 33) jak i Troickiego (zad. A 37) uchodziły dotychczas za bezbłędne i dopiero naszym Czytelnikom udało się wykazać, że jest inaczej.

Oba zadania zacierpnieliśmy ze zbiorów wydanych w formie książkowej. Redakcji zatem nie pozostaje nic innego, jak napisać do wydawców tych zbiorów (w ZSR i Czechosłowacji) o odkryciach naszych Czytelników.

ZADANIE A 39

1. Sb5—c7.

ZADANIE B 32

1...G:c5+ 2. Kh1 H:e1+ 3. H:e1 Gb4 4. Hg3+ Kh8.

Po 1...H:e1+ 2. H:e1 Gb4 3. H:b4 e1H+ 4. H:e1 W:e1+ 5. Kf2 czarnym nie łatwo jest zrealizować przewagę piona.

ZADANIE B 34

1. H:f1 H:f1 2. G:e7 Hf5 3. Wg4+ Kh8 4. G:b4 h5 5. Ge3+ Kh7 6. Wg7+ Kh6 7. Wf7 He4 8. Wf1 i wygrywa.

ZADANIE B 36

1...Wg5+ 2. Kf2 (2. K:h4 Ge6!) Ge6 3. Wac1 W:h2 4. Ke3 Wgg2 i wygrywa.

ZADANIE B 38

1. H:b4!!

ZADANIE B 40

1...H:h3+! 2. G:h3 W:h3+ 3. Kg1 Wgh6 i mat nieunikniony.

Nagrody za prawidłowe rozwiązanie zadań konkursowych wylosowali: 1) St. Czarnecki, Ziębice, ul. Kościelna 6; 2) M. Węgrzyński, Łódź, ul. Wschodnia 31/14; 3) Emil Czucharzski, Koszalin, ul. Jasna 6/2; 4) Marian Kirsztajn, Nowy Targ, ul. Bol. Wstydliwego 27; 5) Zdzisław Małosiński, Mrozy, sanat. Rudka, p. 24. Nagrody wysłaliśmy pocztą i prosimy o potwierdzenie odbioru.

Nazwiska Czytelników, którzy wykryli uboczne rozwiązania zadań A 33 i A 37, i otrzymają dodatkowe nagrody — opublikujemy w numerze następnym.

Uwaga Czytelnicy!

Od dnia 16. V. 1952 r. zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat na prenumeratę do P.P.K. „Ruch” kierować nie należy.

Drodzy Czytelnicy!

NASZ apel o nadsyłanie listów w sprawach większej wagi, interesujących szerszy krąg społeczeństwa, nie pozostał bez echa. Ostatnia pocztą przyniosła nam wiele pod tym względem wartościowych korespondencji. Zajmiemy się więc dzisiaj listem inżyniera St. Ostrowskiego, który obszernie pisze nam o zagadnieniu upowszechnienia książek i prasy, nawiązując do Dni Oświaty, Książki i Prasy.

„Spacerując wzdłuż kiermaszowych stoisk i patrząc na obłożonych książkami przechodniów — pisze inż. Ostrowski — przypomniałem sobie moje przedwojenne czasy studenckie, kiedy kupienie kilku, nawet najbardziej ulubionych dzieł, było dla mnie wręcz nieosiągalne. Utrzymywałem się wówczas z korepetycji, które pozwalały mi jedynie na związanie przysłowiowego końca z końcem i na cienie obiadu za 55 gr.

Pozwól sobie przypomnieć Ob. Redaktorowi, że książki kosztowały (średnio) przed wojną 8—12 zł, nie mówiąc już o luksusowych wydaniach, których cena przekraczała 25 zł! Do dzisiaj widzę piękną „Puszcze Jodłową” Żeromskiego w zielonej, płóciennej okładce, nieosiągalny wówczas przedmiot marzeń za witryną księgarni Mortkowicza!...

Jeśli o tym wszystkim piszę, Ob. Redaktorze, to właśnie dlatego, że w tej doniosłej sprawie, jaką jest ofensywa kulturalna w Polsce Ludowej, powinni zabierać głos zwykli Czytelnicy, codzienni konsumenci dóbr kulturalnych, udostępnionych tak hojnie przez władzę ludową. Wydaje mi się, że właśnie my, masowi odbiorcy książek i gazet, powinniśmy dać wyraz naszej wdzięczności za tę wielką dobroczynną akcję, której dobitnym wyrazem są Dni Oświaty, Książki i Prasy. Jeśli przed wojną garstka snobów lamentowała nad tym, że „szary” człowiek nie garnie się do lektury, że prosić państwa w takiej Francji... to właśnie choćby tylko sami mieszkańcy Warszawy zadokumentowali w pierwszym już dniu kiermaszu, jak błędna była taka opinia.

Robotnicy, studenci, inteligencja pracująca zakupiła w tym dniu wszelkich książek za 200 tysięcy złotych. Rzecz jasna, stało się to możliwe tylko dzięki temu, że książki są u nas tanie i że książki są dobre, wartościowe.

Przed wojną książkę odsuwała od rąk czytelnika nie tylko wysoka cena, ale jej jakość, jej treść. To co zdrowe było w społeczeństwie, gardziło szmirą i niezdrową sensacją, gardziło chorobowymi majakami „szlagierów”, których kilkunastu żywot podsycała kawiarniana plotka pseudo-intelektualnej „elity”.

Na zakończenie swego listu przeproszam „Świat” za rozwlekłość tych uwag, ale na swoją obronę mam Wasze zapewnienie, że sprawy interesujące wszystkich obywateli znajdują wyraz w dziale „Drodzy Czytelnicy”. Za taką właśnie sprawę uważałem Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Sądzimy, że przytoczony powyżej obszerny wyjątek z listu inż. Ostrowskiego w zupełności wystarczy za odpowiedź, czy poruszone przez niego zagadnienie uważaliśmy za temat, który należy opublikować w dziale „Drodzy Czytelnicy”.

„ŚWIAT”

KONKURS NA PLAKAT

Ministerstwo Kultury i Sztuki
Związek Polskich Artystów Plastyków
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
Dział Wydawnictw Artystyczno-Graficznych RSW
„Prasa” ogłaszają

KONKURS OTWARTY NA PLAKAT POLITYCZNY

o następującej tematyce:

- Walka o pokój przeciw agresji imperialistycznej,
- Walka o Plan 6-letni i uprzemysłowanie kraju,
- Walka o wzrost produkcji rolnej i rozwój spółdzielczości produkcyjnej.

WARUNKI KONKURSU:

Plakaty przeznaczone są dla masowego odbiorcy i powinny sugestywnie i treściwie odzwierciedlać jeden z powyżej podanych przykładowo tematów. Wybór szczegółowego tematu pozostawia się autorowi.

Technika wykonania plakatów dowolna (offset, rotograviura). Format 70x100 cm. Projekty opatrzone godłem oraz literą (A, B, C) zależnie od wybranego tematu, z załączoną zamkniętą kopertą, oznaczoną tymże godłem, a zawierającą: imię, nazwisko i godło autora oraz dokładny adres, należy nadsyłać na adres: Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków — Warszawa, Foksal 2 — do dnia 10 czerwca 1952 r.

NAGRODY

Sąd konkursowy przyzna następujące nagrody:

- I nagroda — 5.000 zł,
- dwie II nagrody po — 3.500 zł,
- trzy III nagrody po — 1.500 zł,
- pięć zakupów po — 1.000 zł.

Uczestnicy konkursu opracują hasło na plakat. Najlepsze hasła zostaną nagrodzone.

- I nagroda — 1.000 zł,
- dwie II nagrody po — 500 zł,
- trzy III nagrody po — 200 zł.

Uczestnicy konkursu, których prace zostaną zakwalifikowane do druku, niezależnie od nagród i zakupów uzyskają normalne honoraria za wykorzystane plakaty czy hasła.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 53. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-61, 6-12-88.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, — kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.

Zakłady Włóknodrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 323. Pap. rotogr. V/80 — 82 cm. 3-E-17633

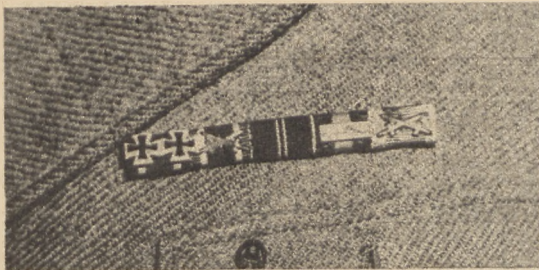
SWIAT

o tym wie!

SIEG HEIL!

„Deutschland, Deutschland, über alles“ rozbrzmiewa znowu w Niemczech zachodnich, jako hymn Trizonii, przywrócony przez Ade-

wojskowych. Kajzerowscy i hitlerowscy oficerowie mogą więc znowu obnosić się ze swymi „Eiserne Kreuz’ami“ (chwilowo jeszcze na



nauera. Równocześnie władze okupacyjne w Trizonii zniosły obowiązujący do niedawna zakaz noszenia starych niemieckich odznaczeń

cywilnych marynarkach — jak widać na załączonym zdjęciu, zdobytymi w dwóch łupiejszych wojnach, i nucić ulubiony hymn pruskich militarystów.

TYMCZASEM W U. S. ARMY

A ci, którym się tak spieszy z przywdzianiem munduru, że nie mogą się doczekać aż ich wchłonie nowy „Wehr-

macht” — są przyjmowani z otwartymi rękami przez armię amerykańską. Oto zdjęcie z tygodnika „Illustrated”.



Podpis głosi:

„HITLEROWSKI GENERAL. General Luftwaffe, Walter Brab-

mann, znowu przywdział mundur, dowodząc jednostką wojskową u Amerykanów”.

CHAPLIN JEST MĄDRY...

Te same rekwizyty i ta sama poza. Glob ziemski i władczy ruch człowieka, „biorącego świat w posiadanie”.

Różnica między nimi tylko jedna: generał Eisenhower bierze to wszystko na serio. Genialny aktor Charlie

ZBAWIENIE WIECZNE 200 LIRÓW ZA KILO

Poniżej reprodukowana ulotka reklamowa stanowi jaskrawy wyraz watykańskiej ołbudy, przybranej w szaty świątobliwego „interesu”. Za jedne 200 lirów każdy — także zmarły — dostąpić mo

że zbawienia wiecznego, zbierać procenty od „przeszło” sześciu mszy dziennie. Zapewnienie sobie spokoju wiecznego potraktowane zostało w sposób wybitnie handlowy.

Pia Società San Paolo

SANTUARIO REGINA APOSTOLORUM
Via Grotta Perfetta, 58 - ROMA

La PIA SOCIETÀ S. PAOLO ha, come apostolato, la divulgazione della dottrina cattolica mediante la stampa, il cinema e la radio.

Per estendere sempre più questo triplice apostolato nel mondo, la PIA SOCIETÀ S. PAOLO ha istituito la Pia Unione Cooperatori che accoglie tutti coloro che desiderano collaborare in questo immenso campo di bene.

Per essere iscritti alla Pia Unione, occorre dare il proprio aiuto alla Pia Società S. Paolo con la preghiera, con l'opera e con offerte.

L'Unione Cooperatori è stata arricchita di indulgenze dai Sommi Pontefici. Gli iscritti partecipano al frutto di 2400 Messe ogni anno: 10 di sei Messe al giorno.

Con l'offerta non inferiore a L. 200 si è iscritti all'Unione Cooperatori, e si partecipa al frutto di sei Messe ogni giorno in vita e dopo morte.

Si possono iscriverne tutti, anche i defunti.

Sig. _____
è iscritto alla Unione Cooperatori.

Roma,

Il Direttore

Sac. O. ALBERIONE, Sup. Gen.

A oto dosłowne tłumaczenie:

Świątobliwe Towarzystwo Św. Pawła
Świątynia Królowej Apostołów
ul. Grotta Perfetta 58
— Rzym

Posłannictwo Świątobliwego Towarzystwa Św. Pawła polega na rozpowszechnianiu doktryny katolickiej przy pomocy prasy, kina i radio.

Celem dalszego rozwinięcia tego potrójnego posłannictwa Świątobliwe Towarzystwo Św. Pawła założyło Świątobliwe Zjednoczenie Współpracowników, które skupia wszystkich pragnących współdziałać w tej wielkiej walce.

Aby zostać wpisanym do Świątobliwego Zjednoczenia należy modlić się, czynem i ofiarą pieniężną przyjąć z po-

moć Świątobliwemu Towarzystwu Św. Pawła.

Zjednoczenie Współpracowników zatwierdzone zostało przez Ojca Świętego. Członkowie uczestniczą w zyskach płynących z 2400 mszy rocznie: przeszło 6 mszy dziennie.

Dzięki ofierze 200 lirów zostaje się wpisanym do Zjednoczenia Współpracowników i uczestniczy się w 6 świętych mszach każdego dnia, tak za życia jak i po śmierci.

Wpisywać mogą się wszyscy, także zmarli.

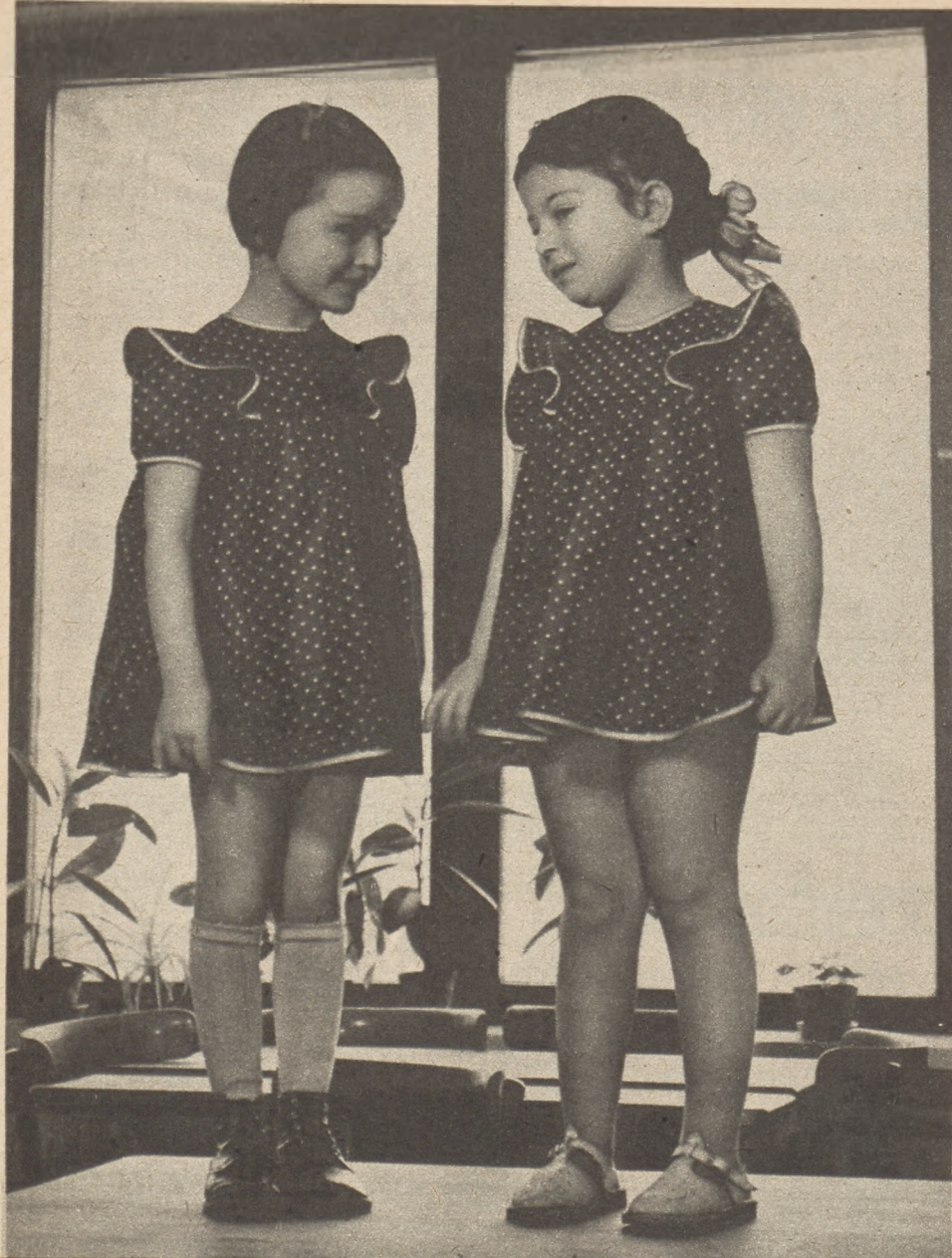
Dyrektor
Ks. G. Alberione, przeor generalny

W swoim ostatnim przemówieniu Pius XII prawil wiele o „przemysle grzechu”, zapomniał jednak widocznie powiedzieć o tym hurtowym handlu wiecznym zbawieniem.

Chaplin zagrał tę scenę w filmie pt. „Dyktator” po to, by ośmieszyć błazeńskie pozy obłąkańców — wczorajszych Hitle-

rów i dzisiejszych Eisenhowerów — którym się zdaje, że można zagarnąć kulę ziemską, tak jak się obejmuje globus.





TANIO i ŁADNIE



A oto dalsze modele Instytutu Wzornictwa Przemysłowego: na zdjęciu górnym dziewczynki z przedszkola na Mariensztacie prezentują sukieneczki z jasnego, granatowego kretonu w białe kropki. Wycięcie przy szyi, skrzydełka, rękawy i dół wykończone są lamówką w kolorze czerwonym. Model ten ma tę praktyczną właściwość, że doskonale „leży” tak samo na szczupłutkiej Agnieszce, jak i na dość okrągłej Małgosi.

Na fotografii dolnej widzimy dwie urocze warszawianki... w wieku szkolnym na spacerze w Łazienkach. Modele, które prezentują są wykonane z kolorowego welvetu. Model pierwszy to czerwony żakiet do spódniczki i sukienek — kryte kieszenie, z tyłu patka i dwurzędowe zapięcie na metalowe guziki.

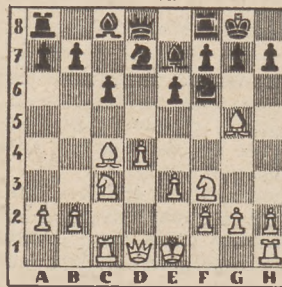
Model drugi — to płaszcz z pelerynką przypinaną (pod kołnierzem), wcięty powyżej stanu, lekko kloszowy, także z patką z tyłu.

(Fot. E. Hartwig)

MECZ SZACHOWY

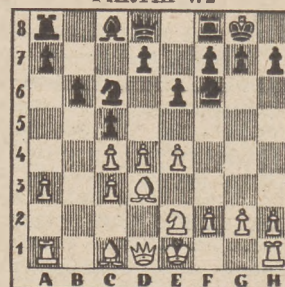
„ŚWIAT” — CZYTELNICY

PARTIA W1



1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Gc1—g5 Gf8—e7
5. e2—e3 0—0
6. Sg1—f3 Sb8—d7
7. Wa1—c1 e7—c6
8. Gf1—d3 d5—c4
9. Gd3—c4.

PARTIA W2



1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 e7—e6
3. Sb1—c3 Gf8—b4
4. a2—a3 Gb4:c3+
5. b2:c3 c7—c5
6. e2—e3 0—0
7. Gf1—d3 Sb8—c6
8. Sg1—e2 b7—b6
9. e3—e4.

Odpowiedzi Czytelników na ósme posunięcie w naszym meczu pobili rekord, jeśli idzie o rozmaitość. W wariantach W1 zaproponowali Czytelnicy 17 różnych posunięć, zaś w wariantach W2 — 14.

W partii W1 najwięcej głosów uzyskało bicie d5:c4. Na drugim miejscu znalazło się posunięcie h7—h6 (18,1%), dalej Sf6—g4 (9,9%) oraz g7—g6 (9,2%). W partii W2 większość Czytelników wypowiedziała się za posunięciem b7—b6, które uzyskało 28,6% głosów. Na dalszych miejscach: d7—d6 — 19,0% oraz d7—d5 — 17,8%.

Po dziewiątym posunięciu Redakcji partie nasze przedstawiają się następująco:

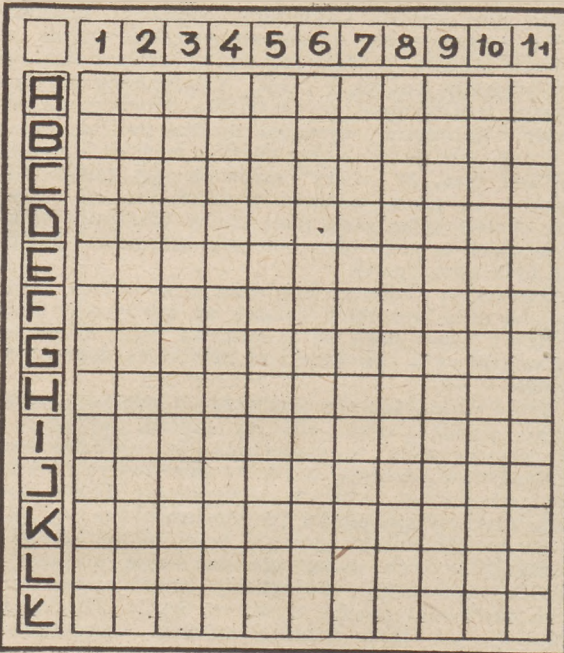
Przypominamy, że odpowiedzi na dziewiąte posunięcie „Świata” winni Czytelnicy wysłać najpóźniej we wtorek, 20 maja br.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻOWKA

Poziomo: A—1) Kolor w kartach, A—5) Twierdzenie, które ma być udowodnione, A—9) Droga, szlak, B—1) Scena cyrkowa, B—6) Lichy utwór literacki, C—1) Państwo w Ameryce Półn., C—7) Wielka wyżyna w Indiach, D—1) Miasto w Japonii, D—6) Drogie kamienie ozdobne barwy czerwonej, E—1) Rozległy widok na okolicę, E—9) Utwór poetycki, F—1) Rzeka nad którą leży Wrocław, F—5) Liczba, F—8) Raj, rozkosz, G—1) Krzesło monarsze, G—5) Góry w Europie środkowo-wschodniej, H—1) Gaz powstający przy wyładowaniach elektrycznych, H—5) Wykrzyknik, H—7) Nośność okrętu, I—1) Znak obniżający nutę o pół tonu, I—6) Masa cukiernicza, J—1) Uszkodzenie okrętu, J—7) Stopień, szarża, K—1) Litera grecka, K—3) Majętności ziemskie, K—8) Rodzaj zawodów sportowych, L—1) Gatunek papugi, L—4) Miasto w Korei, L—8) Imię żeńskie, L—1) Bohater polsko-węgierski, L—4) Duża flota wojenna, L—10) Miara powierzchni.

Pionowo: 1—A) Dopływ Wołgi, 1—E) Wydzielina wodna na skórze, 1—H) Rzeka w Syberii, 1—J) Mieszkaniec Azji pół-zach., 2—A) Gatunek palmy, 2—F) Ogół na nazwa rośliny mającej pień, 2—L) Nuta, 3—A) żarłoczna ryba morska, 3—F) Czołowy reżyser radzieckich filmów, 3—J) Imię męskie, 4—B) Zaimek osobowy, 4—C) Liczba, 4—F) „W roku” po łacinie, 4—J) Drobne krople wody osadzające się na roślinach rankiem lub wieczorem, 5—A) Zaimek wskazujący, 5—C) Angielska miara długości, 5—G) Ptak, 6—A) Spółgłoska (fonetyczna), 6—C) Część ubioru męskiego, 6—I) Wrzawa, hałas, 7—A) Zamyślenie, 7—G) Litera używana do oznaczenia promienia koła, 7—H) Etap, 7—L) Nuta, 8—A) Mikroskopijne galaretozowe żyłko wodne, 8—F) Okres czasu, 8—K) Pierwiastek chemiczny, 9—A) Stolica Japonii, 9—F) Podatek w naturze, 9—L) Przyimek, 10—A) Symbol chemiczny tlenu, 10—B) Licha rzecz, 10—I) Wyspa z archipelagu Sporadów, 11—A) Okalecze-



nia, 11—E) Roślina o silnym zapachu, 11—I) Urządzenie do kierowania samolotem w nocy lub we mgle.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się nume-

ru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie 20 nagród książkowych

ROZWIĄZANIA ZADANIA Z NR 14 (37)

KRZYŻÓWKI. Poziomo: rysa, bąble, spis, Azja, ruta, rury, grot, Orla, klon, takt, tła, makaron, Nil, zła, Abo, ile, samuraj, sen, run, Zetor, San, pat, maruder, emu, Awa, udo, lin, manekin, moc, uran, kosa, Defa, tétto, etat, auly, Nero, nurt, karpa, Aral.

Pionowo: rarytas, sarkazm, azyl, bagna, baobab, Erato, stok, partner, szablon, Omar, Anin, Kajetan, rosomak, huk, Aga, Aza, era, ule, pud, seledyn, nenufar, puma, runo, domator, recital, wektor, antyk, ikona, raut, zera.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 14 (37) nagrody książkowe otrzymują: 1) T. Barzyk — Szczecin, ul. Lutnia 27, 2) A. Cisek — Szczecin, ul. Henryka Pobożnego 4, 3) K. Dumanowski — Międzyrzecz Wlkp., ul. Libelta 2, 4) R. Dziubiński — Warszawa, ul. Powązkowska 62, 5) B. Henkiel —

Opole, ul. Sądowa 3, 6) E. Jankowski — Poznań, ul. Łąkowa 13, 7) M. Jasińska — Radomsko, ul. Kościuszki 13, 8) G. Karpiska — Łódź, ul. Wólczańska 4, 9) M. Kiegl — Warszawa, ul. Wileńska 7, 10) S. Komarczewska — Gdańsk, ul. Płowce 28, 11) M. Kowalska — Szczecin, ul. Grzegorza z Sanoka 51, 12) J. Krawiec — Chorzów, ul. Armii Czerwonej 34, 13) B. Lewicka — Szczecin, ul. ks. Borysa 5, 14) A. Loch — Chorzów, ul. Słoneczna 24, 15) S. Łubiński — Sopot, ul. E. Plater 8, 16) Z. Mazurek — Lublin, al. Racławicka 9a, 17) H. Osman — Chorzów, ul. Orlat 8, 18) A. Piotrowski — Ofic. Szkoła Mar. Woj., 19) A. Szyrowski — Warszawa, ul. Filtrów 68, 20) S. Wlaśnik — Warszawa, ul. Międzychodzka 28.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

FILATELISTYKA

NOWE ZNACZKI POLSKIE

Z okazji święta 1 Maja ukazała się w obiegu seria okolicznościowa, złożona z 2 znaczków: 1) wartości 45 + 15 groszy, czerwony, 2) wart. 75 gr., zielony. Znaczki wykonane zostały techni-

ką stalorytniczą, mają format (bez marginesów) 22x28 mm i ząbkowanie 12½.

V Międzynarodowy Wyścig Pokoju uczciła poczta wydaniem specjalnego znaczka z wizerunkiem ko-

larzy i herbami Warszawy, Berlina i Pragi. Znaczek ten, wartości 40 groszy, jest barwy ciemnoniebieskiej, posiada format (bez marginesów) 27x21 mm i ząbkowanie 12½.



TEATR ŚWIAT

Dyrekcja: IAN SZELĄG

Dekoracje i kostiumy: HA-GA

Tekst: KRYSZYŃ ŻYWIŃSKI

NIEMOŻLIWY CZŁOWIEK

Jednoaktówka w czterech odsłonach

Rzecz dzieje się współcześnie.

Osoby: Szef kadr
Kobieta
Naczelnik
Konduktor
Ob. Witkowski
Żona ob. Witkowskiego



ODSLONA PIERWSZA

W wydziale kadr

SZEF KADR: Czy żona pracuje?
OB. WITKOWSKI: Tak.
SZEF KADR: Gdzie?
OB. WITKOWSKI: U mnie. Moich dzieci pilnuje.
SZEF KADR: Idzie mi o to, czy jest gdzieś zatrudniona.
OB. WITKOWSKI: Mówię przecież, że u mnie. Dzieci pilnować to mała praca? Panu łatwo, bo pan kawaler.
SZEF KADR: Czy ja kawaler, czy nie, to moja sprawa. Odpowiedz pan zwyczajnie na najprostsze pytanie. Czy żona jest zatrudniona?
OB. WITKOWSKI: Owszem, u mnie. Dzieciom gotuje, sprząta, ceruje...

SZEF KADR: Niech mi pan powie, dlaczego, jak pan dobrze wie, że żona nie pracuje, odpowiada pan, że pracuje, chociaż pan dobrze wie, co ja myślę, gdy pytam, czy żona pracuje?

OB. WITKOWSKI: Ja? To pan doskonale wie, że moja żona pracuje, a chce pan ode mnie wy dostać, że moja żona nie pracuje, chociaż pan dobrze wie, że pracuje.

SZEF KADR: Ale z pana człowiek!...

ODSLONA DRUGA

W tramwaju. Przed godziną ósmą rano
(Ob. Witkowski stoi blisko wyjścia. Tuż za nim kobieta).

KOBIETA (grzecznie): Czy pan wysiada?

OB. WITKOWSKI: Wysiadam.

(Tramwaj staje na przystanku).

KOBIETA: No?

OB. WITKOWSKI (odwraca się): O co idzie?

KOBIETA: Dlaczego pan stoi?

OB. WITKOWSKI: A co, mam wisieć, łaskawa pani?

KOBIETA: Przecież pan mówił, że pan wysiada.

OB. WITKOWSKI: Naturalnie, że wysiadam. Myśli pani, że będę tak w kółko jeździł w tym maglu?

KOBIETA: To dlaczego mnie pan zatrzymuje?

OB. WITKOWSKI: Ja? Dla mnie mogła pani wysiąść zanim pani wsiadła.

KOBIETA (rozdrażniona): Co? Cóż za niewychowany typ! Dobrze wie, że ja pytam, czy tu wysiada, to mówi, że wysiada, chociaż wie, że nie wysiada. Niemożliwy jakiś człowiek!

ODSLONA TRZECIA

W biurze u naczelnika

(Ob. Witkowski przedstawia Naczelnikowi kalendarz. Naczelnik wpatruje się w ob. Witkowskiego wzrokiem wyrażającym złość).

OB. WITKOWSKI: Zły kalendarz? Chyba świetny. Informacje wszelkie są, imiona, taryfy, tabliczka mnożenia...

NACZELNIK (patrzy dalej wzrokiem wyrażającym rosnące oburzenie)

OB. WITKOWSKI: Czy można wiedzieć, czemu pan naczelnik tak dziwnie patrzy?

NACZELNIK: Czy pan sobie kpiny urządza? Przy-
nosi pan kalendarz za ubiegły rok.

OB. WITKOWSKI (grzecznie): Czy to moja wina, panie naczelniku, że rok minął?

NACZELNIK (cedzi przez zęby): Nie. Nie pańska wina, że rok minął, tylko pańska wina, że kalendarz zes-
złoroczny.

OB. WITKOWSKI: Może by jednak jakoś zużyć, panie naczelniku?

NACZELNIK (wstaje i krzyczy): Jak? Jak pan pro-
ponuje zużyć? Co pan właściwie sobie wyobraża?

OB. WITKOWSKI: Różne rzeczy sobie wyobrażam. Chmurki na niebie, jak się układają i temu po-
dobne rzeczy!

NACZELNIK: Proszę stąd wyjść natychmiast! Cóż to
za niemożliwy człowiek!

ODSLONA CZWARTA

W domu

OB. WITKOWSKI (do żony): Powiedz mi, czy znasz
kogoś o łatwiejszym charakterze?

ŻONA: Znam.

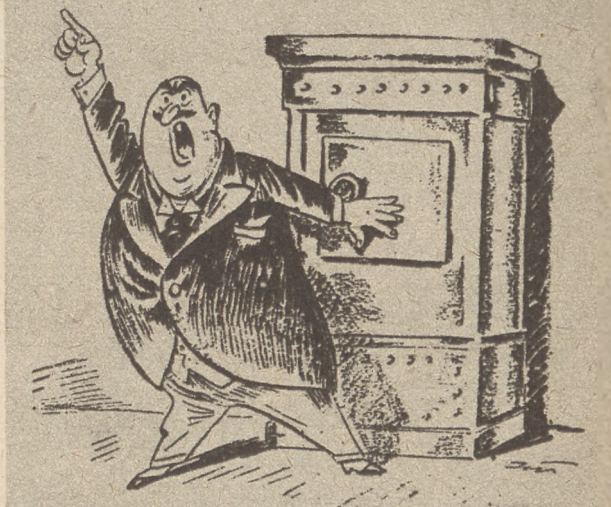
OB. WITKOWSKI: Kto, na przykład?

ŻONA: Choćby ja.

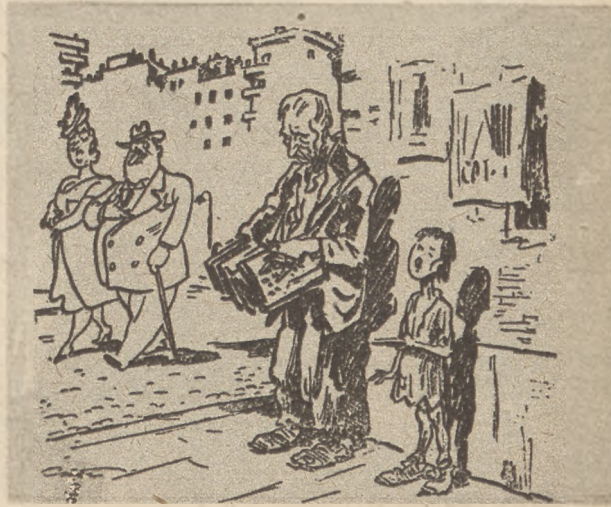
OB. WITKOWSKI: No wiesz! To mi się podoba. Nic
nie robisz całymi dniami, bo dobrze wiesz, że pra-
ca przy dzieciach to żadna praca. Ja muszę tłoczyć
się w tramwajach, w pociągu, użerać z konduktora-
mi, naczelnikami, zarabiać na życie, a ona mi
tu opowiada, że ma łatwy charakter. Ja nie ro-
zumieć dlaczego, jak ja ci zadaję najprostsze py-
tanie, ty natychmiast rozpoczynasz kłótnię. Dla-
czego wszyscy ludzie są tacy drażliwi, tylko ja,
choć mam tyle kłopotów i obowiązków, zawsze
wszystkim idę na rękę. Czy to naprawdę takie
trudne ułatwiać ludziom życie?

KURTyna

SATYRA WŁOSKA



Precz od naszej demokracji!



Tak płaczą, że jest niedza, a bez przerwy grają i śpiewają



— Do diabła, czemu tak trwonicie naftę!
— Niech się pan uspokoi, to tylko krew...

Rysunki: Camerini

ANEGDOTY

— Pozwoli pan, że i ja go
o coś zapytam. Czy pański oj-
ciec był gentlemanem?

— Rozumie się.

— Więc dlaczego pan nie
został również gentlemanem?

—

Wielki poeta niemiecki, Fry-
deryk Schiller, odbywał pew-
nego razu dłuższą przejażdżkę
z księciem Weimaru. W pew-
nej chwili zatrzymano ich na
rogatce i kazano uiścić prze-
pisaną opłatę. Ani książę, ani
Schiller nie mieli przy sobie
pieniędzy.

Wówczas nie tracąc przy-
tomności w tej kłopotliwej sy-
tuacji, Schiller odesłał urzęd-
nika celnego do woźnicy, któ-
ry, jak się okazało, miał na
szczęście pieniądze i zapłacił.
Uradowany tym pomysłem
książę Weimaru, chcąc wyra-
zić uznanie dla sprytu poety,
powiedział zwracając się do
Schillera:

— Tak, tak, wcale nie jest
taki głupi, jak się wydaje.

Uśmiechnawszy się, Schil-
ler odpowiedział na ten „kom-
plement”:

— Jego książęca mość raczy
zauważyć, że w tym właśnie
tkwi różnica między nami.

—

Gdy mistrz Solski obchodził
swoje 94 urodziny, kazał sobie
zrobić fotografię. Wezwany

fotograf, młody chłopak — po-
wiada:

— Mam nadzieję, że wezwie
mnie mistrz również i na set-
ne urodziny!

— Ciekawie możliwe — odpo-
wiedział mistrz, — wygląda
pan zupełnie zdrowo!

—

Jeśli W. Ekszelencja chce
to koniecznie wiedzieć, to
przyznam się, że miałem na
myśli W. Ekszelencję — rzekł
Puszkina.

— Jaki? Przecież ja nie
jestem ani chciwy, ani roz-
pustny. Pan widocznie miał
na myśli hr. Adelfberga, bo
sam mi się skarżył.

— To dziwne! Pan, panie
generale nie poczuwa się do
tego wizerunku, mimo iż pana
upewniam, a hr. Adelfberg
przyznaje się do niego, choć
temu przeczę.



Rys. Charlie

(Z prasy).
Sąd francuski przyznał osłonom międzynarodów-
ki zaradców po 1 franku zamiast śędanych
5.000.000.

Sędzia: Różnicę dopłaci wam Departament Stanu w dolarach.



WARSZAWA — BERLIN — PRAGA

GRUPY WZDŁUŻ TRASY OWACYNIE WITAJĄ UCZESTNIKÓW WYŚCIGU, MANIFESTUJĄC NA RZECZ POKOJU I PRZYJAŹNI NARODÓW. Fot. „SWIAT”, W. Stawny.